MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 4 WARSZAWA, 5 LUTEGO 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

IDEOLOGJA A IDEAŁ

DUSZA żydowsko - bizantyjska duma nad „ideologjami“, gdy dusza chrześcijańsko-rzymska dąży do ideału. Ideologia jest oderwaną, abstrakcyjną teorją, ideał — realnym celem.

Ideologje wytwarza kontemplacyjny, spekulatywny umysł, który odsunął się od świata, zamknął oczy na rzeczywistość, szuka absolutnego, dla wszystkich ras, krajów i stref jednakowo zbawiennego marzenia—i wymyśla doktrynę. Ideał wyciągają z codziennej rzeczywistości, z realnych warunków życia umysły czynne, twórcze, kierowane instynktem działania, pracy, realizowania, ażeby powszedniości postawić jako cel: dążenie do wyższej, lepszej, doskonalszej formy życia. Doktryner brzydzi się rzeczywistością, gardzi życiem i jeżeli może, stara się wszystko nietylko potępić, ale zniszczyć w nadziei, że nowe, doskonałe życie powstanie na gruzach. Idealista zna tylko rzeczywistość i ma radość życia, ale równocześnie stara się usuwać niedomagania, uzupełniać braki, naprawiać błędy powszedniego życia; stawia mu wyższe, idealne, trudne do osiągnięcia, ale mimo to osiągalne cele i to osiągalne dla danego kraju, strefy, dla ludzi rzeczywistych, tych którzy żyją. I w ten sposób stara się pobudzić, uruchomić, wyzyskać dla wyższego celu wszystkie istniejące, widoczne i utajone siły swoich współbraci.

Ideologję można przeprowadzać tylko gwałtem, jak to zrobił Cromwell w Anglji, terroryści we Francji, bolszewicy w Rosji. Gdy nastąpi przesyt krwawej kąpieli, wyłania się z tego potopu zbrodni życie realne, tak do doktryny niepodobne, że badacz zdumiony pyta: czy warto było tyle krwi przelewać, tyle pustyni stworzyć, aby osiągnąć tak drobny skutek? Ideał zapala dusze, skłania je do pracy, trudu, poświęcenia, ofiary, wytwarza w nich poczucie obowiązku i może być w pełni osiągnięty. Tak poszatkowane Włochy, lub rozbite Niemcy postawiły sobie za ideał w XIX wieku narodowe zjednoczenie i osiągnęły je po kilku ćwierćwieczach w całej pełni. A przecież po upadku Napoleona można było uważać zjednoczenie tych narodów za utopję, tak ideał był trudny, daleki, nieprawdopodobny do osiągnięcia. Jednakże leżał w naturze ludzkiej. Przeprowadzenie purytanizmu, zamieniającego całą ludzkość w pewnego rodzaju klasztor o surowej regule, taksamo jak komunizmu jest dążeniem doktrynerskiem, ideologicznem, ale nie idealnem, bo te doktryny są sprzeczne z naturą człowieka i dlatego urzeczywistnić się nie dadzą nigdy.

Dziś w Europie dwa tylko narody mają ideał konkretny: Niemcy i Włochy. Niemcy dążą do zapanowania nad Europą, i hegemonji orężnej nad światem, Włochy do odnowienia starego imperium rzymskiego i do prymatu nad światem.

Oba te ideały są bardzo dalekie, bardzo trudne, ale nie wydają się niemożliwe. Od IV wieku po Chrystusie aż do końca wieków średnich rasa germańska miała istotną hegemonję w Europie.

Włosi są potomkami dawnych Rzymian, Osków, Samnitów, Etrusków i t. d. Jeżeli ich praojcowie z jednego miasta Romy mogli w ciągu niespełna czterech wieków opanować cały basen Morza Śródziemnego od Atlantyku po Ocean Indyjski, dlaczegóż nie mieliby wierzyć, że tego, czego dokazało jedno ich miasto Rzym, nie mogłaby dokazać tyle razy od Rzymu większa Italja.

Oba narody przygotowują się też do osiągnięcia tych ideałów w dalekiej przyszłości, etapami. Niemcy po wojnie naprzód zorganizowały i zdyscyplinowały naród, uporządkowały skarb, naprawiają moralność publiczną i wyłamują się z pod skutków przegranej wojny. Nie płacą odszkodowań wojennych, chociaż mają pieniądze na pożyczanie obcym państwom i na finansowanie przedsiębiorstw niemieckich zagranicą; upominają sie o zwrot kolonij pod niewinną formą mandatów; dążą do odzyskania Pomorza, Śląska, a nawet Wielkopolski; przenikają kapitałami, przedsiębiorstwami, oficerami, administratorami, fachowcami Rosję bolszewicką i przy pomocy duchowieństwa katolickiego, w Stanach Zjednoczonych w dużej mierze niemieckiego, a w Ameryce romańskiej prawie wyłącznie niemieckiego, trzymają rękę na duszach tamtej ludności tak samo, jak przy pomocy bankierów, kupców, uczonych i komiwojażerów trzymają rękę w kieszeniach i tych i innych ludów świata. Żydostwo, socjalizm, komunizm, monarchizm, pacyfizm, propaganda Paneuropy, Stanów

Zjednoczonych Europy i t. d., tak samo jak traktaty handlowe z sąsiadami, przygotowują im rozszerzenie się w Europie i podbój ekonomiczny Czech, Polski, krajów nadbałtyckich i bałkańskich, oraz przyszłą *Mitteleuropę*, jako podstawę dalszych podbojów.

Włosi, postawiwszy sobie tak wysoki ideał, zmierzają do niego również etapami. Zaczęli od własnego kraju, od duszy ludności. Wzbudzili w sobie poczucie godności i dumy narodowej oraz nieprzepartą prężność. Dla przygotowania się do przyszłej, pierwszorzędnej roli, zamienili miłość Italji na kult, fanatyzm, egzaltację. Pod wpływem tej egzaltacji większość Włochów stała się zdolną do ofiar i poświęcenia: wszyscy wykonywają swój obowiązek, pracują, czuwają, przewidują i kalkulują naprzód. Dla potęgi potrzebna jest niezależność ekonomiczna. Trudno o niej marzyć w normalnych warunkach dla kraju przeludnionego, w trzech czwartych nieurodzajnego, pozbawionego najważniejszych surowców, jak węgiel, żelazo i nafta. Ale wiara i zapał tworzą cudy. Skoro surowca niema, to pracowitość i poprzestawanie na mniejszych zarobkach uczyni przemysł włoski zdolnym do konkurowania z zagranicą. Olbrzymie inwestycje wodno-elektryczne uwalniają kraj od zależności od węgla zagranicznego. Praca stała się nie hasłem, lecz religją, fanatyzmem, furją. Obudzony entuzjazm i wiara w świetlaną przyszłość dodają skrzydeł. Skuteczność dotychczasowych zarządzeń budzi ufność, zachęca do wytrwania, do wzmożenia wysiłku i rodzi niezłomną wiarę w rozum kierowników. Doświadczenie kilkuletnie doprowadziło do tego, że współpracownicy zrzekli się doradzania, bo im wystarczy słuchać rozkazów. Hierarchja wytworzyła się podczas pracy i przez pracę. W ten też sposób przez pracę i walkę lat z górą pięciu Mussolini doszedł nietylko do faktycznej, ale do prawnej dyktatury: zwolennicy, przekonawszy się o jego niezawodnej zdatności, sami przez uchwałę zrzekli się współrady.

Do hierarchji przyłączyła się dyscyplina. Przywrócono wszystko, co naród wiąże i z trzody ludzkiej czy z kupy piasku czyni jednolity, żywy organizm. Przywrócono naukę religji w szkołach, przetworzono szkoły na zakłady, które wychowują młodzież na obywateli sumiennych, pełnych poczucia obowiązku i odpowiedzialności, zapalonych do wspólnego ideału, zdolnych do ofiar i poświęcenia dla Italji. Przywrócono prawną świętość rodziny, bo istotna świętość rodziny trwa tam od tysiącleci jako obyczaj domowy. Usunięto i potępiono wszystko, co podkopuje wiarę w Boga, w ojczyznę, w rodzinę, w wielkie przeznaczenia rasy,—co dzieli, a nie łączy. A ponieważ wychowanie jest tylko wtedy skuteczne, kiedy się odbywa w odpowiedniej atmosferze i kiedy otoczenie nie daje zgorszenia, zdyscyplinowano starsze pokolenie tak, że stosowna atmosfera dla wychowania 40 z górą miljonów Włochów na Scaevolów, Manliusów, Brutusów, Regulusów, Camillusów, Clelie, Calpurnie, Virginie, Lucretie i t. d. wytwarza się bez najmniejszej przeszkody.

Tak duchowo przygotowuje się plemię italskie do zdobycia kiedyś prymatu nad światem. Politykę bieżącą znają wszyscy i wszyscy mogą notować te drobne posunięcia, które potężniejącej Italji dają coraz większe znaczenie w świecie i zapewniają korzyści na wyspach greckich i w Afryce, oraz w Azji Mniejszej i nad Morzem Czarnem. Mniej znane jest nawiązywanie stosunków polityczno-duchowych z Hiszpanją i z romańską Ameryką, któremu przyświeca myśl zsolidaryzowania, a potem zjednoczenia wszystkich ludów pochodzenia romańskiego pod przewodnictwem Włoch dla przetrzymania naporu germańskiego i anglosaskiego, tudzież dla stworzenia podstawy, z której można będzie sięgnąć po prymat nad resztą świata.

Można dzisiejszej, pierwiastkowej realizacji, a raczej tworzeniu podstaw do planowego zmierzania ku ideałowi tych narodów zarzucać co się komu podoba. Nie należy jednak zapominać, że wielka wojna nie skończyła się bynajmniej całkowitą klęską Niemiec. Kraj niemiecki nie został dotknięty przez wojnę i pobite Niemcy znalazły się w położeniu o całe niebo korzystniejszem niż zwycięska Francja ze swojemi dziesięcioma departamentami, zamienionemi w pustynię. Przegrana niemiecka nie dotyka ani dumy narodowej, ani wiary we własne siły, bo nie zwyciężyć przeciw 28 państwom, a między niemi pierwszorzędnym potęgom światowym, jak Anglja, Rosja, Stany Zjednoczone, nie mówiąc o Francji, Włoszech, Japonji i t. d. to dowód niezwykłej siły, rozumu i wytrwałości. Normalnie, przy tym stosunku sił, nie powinien był z Niemiec zostać kamień na kamieniu, a wszyscy mieszkańcy powinni byli albo poledz albo zostać niewolnikami. Skoro tak się nie stało, to każdy Niemiec może być dumny z wyniku wielkiej wojny i zmierzać do nowej z tem zastrzeżeniem, że się ją jeszcze lepiej i przezorniej przygotuje.

W tych warunkach Niemcy mogą sobie stawiać bardzo wielkie, bardzo trudne cele na przyszłość, a subjektywne poczucie każdego Niemca może je uważać za trudny, odległy, ale osiągalny dla nich ideał.

Trudno przewidywać, czy odrodzenie prężności włoskiej w formie faszyzmu jest ujęciem trwałem, czy przemijającem. Nasi lewicowcy widzą w mussolinizmie tylko niewolę na wzór assyryjskiej, egipskiej lub carskiej i zapowiadają nieuchronną reakcję w postaci rewolucji. Tymczasem dyktatura z nieodstępną niewolą, jeżeli jest rozumna, nie jest dla Włochów obca. Mieli ją za imperatorów, z których tylko bardzo nieliczni byli warjatami, choć państwem rządzili nieźle, a z których większość (Augustus, Vespasianus, Titus, Diocletianus, Marcus Aurelius, Hadrianus, Nerva, Traianus, wszyscy Antoninowie i t. d.) zasłużyła sobie na miejsce między mędrcami, geniuszami lub dobroczyńcami ludzkości; mieli ją także po swoich królestwach i księstwach i naogół znosili ją dobrze. Ależ bo ci Medyceusze, Estowie, Sforzowie, dożowie i t. d. byli mądrymi władcami przeważnie. Tylko głupia, samowolna, niesprawiedliwa despocja jest nie do zniesienia. Włosi umieli słuchać mądrych despotów, ale umieli także usuwać głupich.

To jedno. A drugie jeszcze ważniejsze. Niechby się okazało, że dyktatura Mussoliniego jest efemerydą — niechby wszystkie jego ustawy dekretowane, reorganizacje i zarządzenia okazały się błędnemi—niechby i Mussolini i cały faszyzm został uprzątnięty przez jakiś nowy przewrót: to podniesienie ducha narodowego, to stopienie całego narodu w jednolity organizm, ten pęd do pracy i twórczości, ten wysoki ideał plemienia, ta fanatyczna miłość Italji i jej najwyższych przeznaczeń, to wszystko zostanie na długie wieki dorobkiem dzisiejszego czasu, najwyższem wspólnem dorobkiem narodu.

Przy niezmiernej potędze Anglosasów, którzy pierwszeństwa się nie zrzekają, przy prężności Niemców i Włochów, która musi doprowadzić do współzawodnictwa, jest dla Polski do odegrania rola ważna i wielka, ale tylko dla Polski silnej. Na moc trzeba mocy, na prężność prężności. I to jest punkt wyjścia dla ideału polskiego.

JAN ZAMORSKI

REWIZJA REWIZJI

POD koniec wojny światowej zwrócił się do mnie jeden z mych znajomych ze słowami: „Wy historycy okłamujecie nas". W tem zdaniu wyraziło się pragnienie rewizji wszystkich naszych tradycyjnych poglądów z chwilą, gdy państwo polskie powstało. Uważano, że historja—pocieszycielka za czasów niewoli — powinna odrzucić precz rolę mistrzyni życia i śmiało wypowiedzieć prawdę. Już pewien odruch przeciw ustalonym poglądom uwidocznił się w owych zbiorowych odczytach o przyczynach upadku Polski w r. 1917 w Krakowie.

Zeszłego roku Roman Dmowski rzucił parę śmiałych myśli o roli naszych powstań, burząc tradycyjny pogląd o ich pożytku i celowości, wykazując ich „straszny bilans" („Polityka Polska i odbudowanie państwa" 1925). Starł się z nim z tego powodu Aleksander Świętochowski, pisząc artykuł „W obronie twórców klęsk" (1 i 2 lipca „Gazety Warszawskiej").

Zapasy dwóch myślicieli tej miary były tembardziej interesujące, że wyroki o naszych powstaniach wydawali tu pisarze, którzy lubią wypowiadać szczerze, bez ogródek, „bezceremonjalnie" (jak zaznacza sam Dmowski) to, co im na sercu leży. Do dziś brzmi w naszych uszach słuszny, a surowy wyrok Dmowskiego: „Po każdej klęsce powstańczej następował upadek wiary, upadek ducha, podnosiły głowę żywioły najgorsze, najmniej narodowe. A równocześnie sprawa polska nazewnątrz upadała coraz niżej..." Do dziś brzmi też w naszych uszach i owo ważkie zapytanie Świętochowskiego: „Czy powstańcy gubili Polskę, czy raczej w pewnej mierze ocalili".

Najciekawszy jest ten moment polemiki, gdy Świętochowski przekonywa Dmowskiego, że on właśnie „jest następcą w prostej linji spiskowców i powstańców" i spadkobiercą ich haseł, a Dmowski, wódz dzisiejszych patrjotów odpowiada, że pytał zawsze tylko o to, „co jest polskie, dobre dla Polski, a nie—czy będzie uważane za polskie, za patrjotyczne" i że dlatego nieraz robił i pisał rzeczy, które wywoływały „patrjotyczne oburzenie".

W gruncie rzeczy niema w tej całej polemice nic tak dalece dziwnego. Nowe pokolenia wymagają nowych haseł. Co dobre było dla Polski wczoraj, szkodliwe może być dzisiaj, boć w Europie konstelacja polityczna wciąż się zmienia. Dzisiejszy patrjota wobec coraz wyraźniejszego upadku Rosji (wojna Krymska 1853—56, Kongres berliński 1878, 1904/5 etc.) obróci swą tarczę przeciw—Berlinowi, gdy nasi pradziadowie głównie przejęci byli grozą potęgi Katarzyny II, Aleksandra I i Mikołaja I.

Pod wpływem prądów świata zachodniego i u nas od końca XVIII w. rozwijały się i zmieniały kolejno jakby dwa typy nowoczesnego patrjotyzmu, stary i nowy, a granica tych typów przypadałaby około połowy XIX wieku. Kiedy niedawno przedstawiłem na łamach „Myśli Narodowej"[1]) narodziny owego pierwszego, starego typu w chwili wybuchu rewolucji amerykańskiej, wówczas w niektórych kołach czytelników „Myśli" dały się słyszeć uwagi, że to nie był typ patrjoty dzisiejszego. Bardzo słusznie! Nie był to typ dzisiejszy, ale jednak nowoczesny, boć typ powstańca amerykańskiego, był takim typem, jak np. Lafayette'a czy Łazarza Carnota w czasie rewolucji francuskiej, jak typ Kościuszki i naszych powstańców. Dzisiejszy typ jest inny, bo przystosowany do mniej już romantycznych czasów Cavoura i Bismarka, jest mniej „rozumny szałem", bardziej realny, trzeźwy, więcej przejęty „egoizmem narodowym", mniej liczy na entuzjazm ludów, jak raczej na własną siłę, organizację, dyscyplinę. Jak więc z jednej strony trudno domagać się, aby dzisiejszy patrjota polski pisał się na wszystkie hasła swoich ojców np. z czasu sejmu czteroletniego, czy też wiosny ludów z 1848, tak też i dzisiejszy patrjota popełniałby anachronizm, gdyby robił zarzut tamtym starym wiarusom, że nie wyznawali dzisiejszych haseł, że byli nazbyt romantyczni, marzycielscy i t. p. Trudno domagać się, aby Mazzini był Mussolinim...

Jeśli się mówi o powstaniach, to zazwyczaj gormy potępienia padają na powstania ostatnie, właściwe „powstania", a głównie na styczniowe, bo ono już na samej granicy nowej epoki leżące wydawało się największym ze wszystkich anachronizmem. Najmniej gromów padało zwykle na powstanie Kościuszkowskie, gdyż uważano, że ono było w chwili upadku państwa koniecznem zamanifestowaniem protestu przeciw gwałtom rozbioru.

Najdalej w potępieniu wyników powstańczych i to głównie jednak powstania Kościuszkowskiego poszedł w ostatnich czasach profesor Skałkowski. On to przedsięwziął rewizję poglądów na bohatera racławickiego, postanowił — jak mówi — rozwiać „legendę Kościuszkowską". Nie myślę też z tego powodu występować tutaj z rekryminacjami przeciw takim zamiarom. My historycy musimy przedewszystkiem dbać o prawdę: *„Ne quid falsi audeat, na quid veri non audeat historia"* (Cicero, *De orat.* II. 15). Owszem z całem uznaniem witam tę śmiałość w rozbijaniu dotychczasowych poglądów — byle tylko rezultat badań dowiódł, że przedsięwzięcie się powiodło. Otóż zadajmy sobie dziś pytanie, czy Kościuszko, pomimo tych prób krytyki, ostał się w ogólnych rysach w takiej postaci, w jakiej go przechowała tradycja, czy też padł zupełnie zdruzgotany pod obuchem prawdziwie naukowych argumentów.

Jeżeli chodzi o Kościuszkę, to jego znaczenie trzeba podzielić na dwie sfery działania, wojskową i moralno-społeczną. Ta druga sfera nie jest drugorzędną. Dzieje ludzkości polegają nie na samej szabli. Sama szabla nic nie znaczy bez moralnego zapału. Wiara krzyżowców, fanatyzm janczarów, zapał husytów, pietyzm żołnierzy Cromwella, hasła wojsk rewolucji francuskiej nie były drobnostką nawet na polu bitwy. Z wojskiem idzie sztandar pewnych programów, wzniosłych czy barbarzyńskich — ale idzie. Jeśli zaś zdaniem Rankego w dziejach walczą ze sobą idee, to nieodzowni są w dziejach wyraziciele tych idej, ludzie sztandarowi, programowi.

Otóż Kościuszko dla pierwszej doby porozbiorowej Polski był głównym bohaterem sztandarowym, bo był pierwszym i najwybitniejszym polskim powstańcem-demokratą.

Spytajmy bowiem, jakiego to programu potrzebowała wogóle Polska upadająca i Polska rozbiorów. Jeśli chodzi o pierwszą połowę XIX w., to nie można dziś zamykać oczu i nie przyznać, że w Europie ideą zdobywającą świat były hasła rewolucji amerykańskiej i francuskiej, hasła konstytucji, parlamentaryzmu, praw człowieka i obywatela, hasła emancypacji społecznej. To, co w XX wieku wydaje się już wyszarzałe, spowszedniałe, to w XIX było podstawowem *„credo"*, za które padali na barykadach nasi dziadowie i ojcowie.

[1]) Nowoczesny patrjotyzm, lipiec 1925.

I trzeba przyznać, że te idee podkopywały jednak tę „starą Europę“, te przedewszystkiem trzy mocarstwa, bez których upadku zmartwychwstanie Polski nie byłoby możliwe. Czy więc ci Polacy, co pracowali nad obaleniem „starej Europy“, nie pracowali dla Polski? Tak logicznie by wynikło. A więc pracowały w tym kierunku i sejm czteroletni i Racławice i uniwersał połaniecki i Kodeks Napoleoński i rok 1830, 1848, 1863. Dotrzymać kroku zachodniej Europie, współdziałać z jej ówczesnemi dążeniami—było dla nas: być albo nie być! Zresztą to nie tylko oryginalny pomysł Polski. I Prusy po klęsce pod Jeną pracują nad wewnętrznem przeobrażeniem za wzorem rewolucji francuskiej; i w Berlinie i Wiedniu za przykładem Zachodu wybuchają rewolucje w r. 1848.

Jeśli tak pojmujemy wiek XIX i dzieje Polski rozbiorowej, to zrozumiemy, że w chwili upadku Polski czołowym człowiekiem niezastąpionym, człowiekiem któregośmy potrzebowali koniecznie — był Kościuszko, apostoł naszego programu powstańczego i demokratycznego zarazem. Program powstań polskich, program walk orężnych z przemocą wymagał, aby na czoło wysunął się wódz — nie poseł, nie pisarz, nie generał. Ponadto wymagał, aby świecił przykładem poświęcenia, ofiarności, charakteru. I tu był Kościuszko jedynym. Czyż mógł go zastąpić Kołłątaj czy Ignacy Potocki? On nie tylko w postaci przekazanej nam przez tradycję, ale w rzeczywistości przerastał pod tym względem innych towarzyszy broni, był w istocie „Tymoleonem“ — wzorem dla współczesnych i dla przyszłych pokoleń. Dlatego to już w r. 1792 a więc przed insurekcją (jak donosi Descorches, Kwat. histor. XI-r. 1897, 794) był przez żołnierzy ubóstwiany — Kościuszko a nie jego zwierzchnik książe Józef. Przecież wyraźnie wskazał na to swego czasu sam prof. Skałkowski (w r. 1913 w swym „Księciu Józefie Poniatowskim“, str. 143) gdy wytykając księciu Poniatowskiemu jego słabość charakteru okazaną w owym roku 1792 przyznał, że w odróżnieniu od niego Kościuszko „najdoskonalej wyobrażał cnotę obywatelską i te pojęcia nowoczesne, na których musiał oprzeć się naród dobijający się niepodległości“.

I tu jest druga kwestja t. j. program demokratyczny. Jakiż inny przewódca wojskowy mógł stać się wówczas wyrazicielem programu demokratycznego, czy może arystokrata książe Józef, czy Dąbrowski, doskonały żołnierz, ale tylko żołnierz? A tymczasem jeśli wraz z całą Europą przez wiek XIX mieliśmy się socjalnie przetwarzać, to potrzebowaliśmy na wstępie tego okresu takiego właśnie wodza-demokraty. Kościuszko wyprzedził swoje otoczenie powstańcze (Jasińskiego czy Zajączka) przez to, że był wprzód „Amerykaninem“ i że ośmielił się pójść dalej niż 3-ci maj tak, że następne powstania nie wiele miały już co dorzucać do jego programu. Jeśli dziś historyk francuskiej rewolucji Mathiez coraz to bardziej podnosi znaczenie Lafayette'a w czasie tego okresu dziejów Francji, to nie trzeba zapominać, że bohater racławicki był czemś więcej w Polsce, niż Lafayette'm. Przez to samo, że walczył i działał za Atlantykiem, stał się w Polsce apostołem haseł amerykańskich, które naśladowano w Paryżu. Kościuszko nie potrzebował paryskiego pośrednictwa, był tym Prometeuszem, co ogień przeniósł wprost z za Atlantyku do Polski. On był jedyny z wodzów polskich uznany już w roku 1792 jako „*citoyen français*“, obywatel honorowy — rewolucji francuskiej. Stąd gdyby w Polsce brakło Kościuszki, z wielkim trudem przyszłoby komu odegrać jego rolę. Dowodem luka, jaka nastała po Maciejowicach.

Taki pogląd, zgodny na ogół z przekazanym nam przez tradycję, spotkał się już w r. 1917 z krytyką zasadniczą profesora Skałkowskiego. W „Kwartalniku Historycznym“ (1918, str. 525) potępił on całą ideę powstańczą a przeciwstawił jej legjonową. Jego zdaniem Polska nie mogła o własnych siłach dać rady państwom rozbiorczym, więc myśl powstańcza była beznadziejna a tylko myśl stworzenia legjonów przy wojskach państw walczących z rozbiorcami miała sens. Na tej podstawie profesor Skałkowski depcząc tradycję oświadcza, że sejm czteroletni zgubił Polskę, że 3-ci maj wcale Polski nie odrodził, bo prądy reform socjalnych obudziły się w Polsce już dawniej, że więc tylko niepotrzebnie „przyśpieszył tempo“[2]) odrodzenia, a więc niesłusznie zrzucili twórcy majowej ustawy brzemię odpowiedzialności na targowiczan—jednem słowem tak wojna 1792 jak i całe następne powstanie kościuszkowskie były jednem „wielkiem nieczęsnem szaleństwem“, „beznadziejnem przedsięwzięciem“. „Szaleństwem było podnosić oręż“ przeciw trzem rozbiorcom. Jeśli tak — to insurekcja kościuszkowska, tak jak i wszystkie nasze powstania były beznadziejną, zbrodniczą lekkomyślnością — a w takim razie ich główny bohater Kościuszko, to również lekkomyślny szaleniec — postać wcale nie tak znowu „potrzebna“. Otóż jak widzimy wspomniana wyżej rewizja poglądów na powstania pozostaje w związku z zagadnieniem kościuszkowskiem.

I tu w końcu musimy sobie postawić ogólne zagadnienie, czy te powstania były w istocie tak niepotrzebnem szaleństwem, czy też raczej koniecznem zjawiskiem u narodów zdobywających niepodległość? Cóż to bowiem widzimy w Europie w XIX wieku? Oto całe zmartwychwstanie Włoch, ich „*risorgimento*“ i ich zjednoczenie szło przez same klęski. Wszelkie „powstania“ włoskie kończyły się też beznadziejnie i r. 1820/1 i 1830 i 1844 i 1848/9, a jednak nie co innego, jeno przedewszystkiem te klęski, ponoszone

[2]) Prof. Skałkowski, zarzucając twórcom ustawy majowej zbytnie przyśpieszenie tempa demokratyzacji, nie omieszka równocześnie wytknąć Kościuszce choćby drobiazgowych odchyleń od programu demokratycznego. Tak czyni Kościuszce zarzut, że dopuścił się zdrady tych haseł, gdyż on demokrata—podpisując pewien list użył tytułu hrabia — (*Count*). W referacie p. t. „Zagadnienia Kościuszkowskie“ wskazałem, że zarzut ten postawiono bez porównawczego zestawienia, gdyż autor przeoczył wszystko, co o tego rodzaju zwyczaju tytułowania Polaków w Ameryce napisał w swej rozprawie ks. Szopiński. Wszyscy oficerowie Polacy zwali się wówczas hrabiami (*count*) lub baronami, a Kościuszko użył takiego tytułu tylko raz, gdy pisał do amerykańskiego majora Haskell'a, który wówczas przebywał w Paryżu. Napomykał w tem piśmie, a niejako prosił o wstawienie się do władz amerykańskich (do kongresu), aby mu zwrócono zaległą jego pensję, z czasów jego służby w wojsku amerykańskiem. W odróżnieniu od wszystkich szumnie tytułujących się Polaków użył tu jedyny raz w życiu słowa „*count*“ niezawodnie dlatego, aby dowieść, że mu się należy taka pensja, jako oficerowi, a to wedle ówczesnych (r. 1780) poglądów europejskich t. j. na podstawie edyktu wydanego we Francji w r. 1781, w którym zastrzeżono, że za oficera można uznać tylko tego szlachcica, który się aż czterema stopniami szlachectwa wykaże. W liście tym chodziło więc raczej o dowód prawniczej czy finansowej natury, niż o arystokratyczne puszenie się tytułem „*count*“. Kościuszko pozatem mógł użyć w tym liście owego słówka „*count*“, aby odeprzeć zarzut pewnego oficera — Anglika, który w swej książce o wojnie amerykańskiej wytknął w r. 1785, że Amerykanie niesłusznie Kościuszkę, cudzoziemskiego awanturnika, „*a foreigne adventurer*“ (t. j. plebejusza nie mającego nic wspólnego z rangą oficera) — zrobili hrabią polskim. Rozwodzę się o tem tak obszernie, gdyż prof. Skałkowski z powodu tego słówka wytoczył Kościuszce sprawę, jakby o jakąś straszną zbrodnię, mówi o tym tytule w swej książeczce czterokrotnie, a raz wyraźnie pisze, że ten tytuł hrabiowski ukazuje „z całą dosadnością na niezupełność przeobrażenia“ demokratycznego u Kościuszki.

przez szalonych braci Bandierów, Mazzinich, Garibaldich krzyczały wobec całej Europy, że „kwestja włoska“ istnieje.

Tak samo bez krwi powstańczej nie byłoby „narodu“ Stanów Zjednoczonych Ameryki, lecz tylko istniałaby druga Kanada. Powoływanie się na przykład, że Czesi doszli dzisiaj do niepodległości i państwa niezależnego bez powstań jest błędem, bo Czesi jako naród mały nie mogli robić powstań często, ale zato jak robili, to takie, jak wojny husyckie albo jak r. 1618, który się zakończył Białą Górą i—zupełnie obezwładnił ich na całe wieki. I tem się też Czesi różnią od Obotrytów, którzy nie robili w końcu już nigdy powstań i zostali też dla tego tylko Meklemburczykami... Naród wielki, który dba o swoją oryginalną f i z j o n o m j ę d u c h o w ą musi mieć i swoją s z a l o n ą Joannę d'Arc, swoich s z a l o n y c h powstańców, swoje *Tugendbundy* i hiszpańskich Gierylasów. Musi swoich s z a l e ń c ó w mieć i Irlandja. Jakże szalenie beznadziejnem było powstanie Bułgarów w r. 1876, które skończyło się wyrżnięciem tysięcy Bułgarów przez Turków, a jednak ono dowiodło Gladstonowi, że istnieje naród bułgarski i sprawiło, że wkońcu zaczęło się tworzyć państwo bułgarskie. Krew wylana w obronie ideału jest czasem dziwnie twórczym sokiem!

S z a l o n a odwaga chrześćjan dowiodła światu, że chrześcijaństwo istnieje: *„Sanguis martyrorum semen christianorum“*.

Tak samo i Polska, chcąc utrzymać swego ducha niepodległości, musiała zdobyć się na grupę, która mimo beznadziejnej i rozpaczliwej sytuacji zrywała się i poświęcała krew, wołając: *„contra spem spero“*.

Bo też klęska militarna nie zawsze jest jednoznaczna z ostateczną klęską polityczną czy moralną. Wedle legendy (i tu niechże raz sobie pozwolę na legendę) na pobojowisku nad trupami mają walczyć z sobą jeszcze długi czas duchy i tu może być wynik jeszcze na długo odroczony. Dziś we Włoszech triumfatorkami są w zasadzie idee, wypielęgnowane przez *„risorgimento“*, choć swego czasu złamane i stłumione przez Austrję. W wolnej dziś Irlandji królują rzekomo „beznadziejne“ hasła powstańców, a w Polsce zrobiły swoje też i idee Kościuszkowskie, bo jeśli pierwsza Ameryka w czasie wojny światowej wystąpiła z żądaniem odbudowania Polski, to przyczynił się do tego także Kościuszko i jego „szalony“ udział w rewolucji amerykańskiej i jego „szalona“ insurekcja i wedle tego s u k c e s u trzeba też uznać i oceniać ogromną wartość tego kapitału moralnego, jaki On nam zostawił.

WACŁAW SOBIESKI

BEZDROŻA SAMOTNEGO CZŁOWIEKA

(Dokończenie)

W POLSCE proces deformacji cywilizacji chrześcijańskiej był nieco inny, niż na Zachodzie. Przedewszystkiem humanizm i Odrodzenie słabem się echem u nas odbiły. Reformacja była spowodowana raczej względami natury społecznej, niż religijnej i nie wywołała skutków stałych. Pod względem politycznym organizm państwowy polski nie wyszedł z ram średniowiecznych, konserwując, niestety, wszystkie przywary średniowiecza. Oświecenie wywarło na polską umysłowość wpływ nieco głębszy, ale dopiero romantyzm wyprowadził Polskę na te same drogi i bezdroża, po których kroczyła wówczas Europa.

Romantyzm był w Polsce szczególnie niebezpieczny. Indywidualistyczne jego tendencje odpowiadały naszym skłonnościom anarchistycznym, uczuciowość dogadzała naszemu jednostronnemu kultowi uczucia (niejeden Polak hasło Mickiewicza: „Miej serce i patrzaj w serce“ tłumaczył sobie: Nie miej rozumu i nie zważaj na rozum!), a romantyczna awersja do rzeczywistości splotła się w jedno z sączącym się w nasze dusze jadem niewoli, wywołującym bierność i apolityczność, albo też bezpłodną tęsknotę marzycielską, albo wreszcie awanturnicze zawadjactwo.

Największą przeto zasługą literatury naszej pozostanie, iż w swoim głównym zrębie w ciężkiej walce oparła się tym pokusom i stała się raczej środkiem podźwignięcia narodu z upadku.

Cała twórczość Mickiewicza od chwili poznania się z Oleszkiewiczem (1828 r.), to ciągła walka z romantyzmem i jego konsekwencjami w imię wysokiego i wyzwalającego ideału Chrystusowego. Końcowy fragment „Petersburga“ ujmuje w skrócie cały problem. Projekt dramatu o Prometeuszu, wyzwolonym przez Chrystusa, go powtarza. „Dziady“ są i pozostaną najwspanialszym pomnikiem tych romantycznych bojów. Słowa „Ja i ojczyzna — to jedno“, są szczytem egocentryzmu, poeta nie podporządkowuje bowiem jednostki ojczyźnie, lecz całkiem przeciwnie: ojczyznę jednostce. Zaprzecza także rodakom wolnej woli, ludzie są dlań takim samem materjałem, jak myśli i słowa, to też, o ile mu się sprzeciwią, „niechaj cierpią i przepadną“.

Despotyzm ten względem ludzi łączy się u Konrada z bluźnierczą walką z Bogiem, któremu Konrad zaprzecza atrybutów wszechmocy i miłości, oraz skłonny jest zidentyfikować Stwórcę z pierwiastkiem Zła na świecie. Nad przepaścią się jednak zatrzymuje.

Ale romantyzm Mickiewicza nie ginie, staje się jeno kryptoramantyzmem. Oto na tle oderwania od kraju, śród przymusowej bezczynności, wytwarza się na emigracji zwrot, zwany mesjanizmem, który jednak słuszniej zwaćby trzeba patrjotyzmem indywidualistycznym, aspołecznym. Polega on na zawodnem i jednostronnem analogizowaniu społeczności do organizmu, na pochopnem przenoszeniu praw, rządzących jednostką, na społeczeństwo. Mickiewicz funduje tę koncepcję mesjanizmu na uczuciu, do karykatury zaś doprowadza ją Krasiński, posługując się dialektyką. Szczególnie jednak rozwinął się mesjanizm w Towianizmie, będącym spóźnioną próbą prymitywizmu chrześcijańskiego. Było to zubożanie i cofanie katolicyzmu do form przeżytych, pra-chrześcijańskich i prasłowiańskich. To miał zapewne na myśli Norwid, gdy mówił, iż emigracja „Boga mija, wraca w Boha“. Myśl Norwida zrozumiemy, gdy zważymy niewątpliwe wpływy białoruskie w Mickiewiczu i Towiańskim, zaś ukraińskie w Goszczyńskim, Słowackim i Różyckim. Tem się też tłumaczy t. zw. „duch rosyjski“ w Kole. Ciekawe i zdumiewające są analogje pomiędzy Towianizmem a nauką Tołstoja.

Śród ustawicznej walki i nierównowagi w życiu Mickiewicza, jedyny moment Łaski i słonecznej pełni twórczości—to „Pan Tadeusz“. Jest on szkołą patrjotyzmu w dzisiejszem i stałem tego słowa znaczeniu.

Romantyzm Słowackiego może być nazwany biernym, w przeciwieństwie do czynnego romantyzmu Mickiewicza. W ostatnim okresie swego życia zwalcza on ulubione symbole romantycznego buntu, Lucyfera i Prometeusza. W „Samuelu“ stwierdza on niższość Lucyfera wobec Djany, „razem potężnej i świętej“, opro-

mienionej Łaską Bożą. Intelektualne skłonności Słowackiego nie pozwoliły mu jednak bezwzględnie potępić Lucyfera, którego tragedję niezaspokojonej ambicji rozumie poeta doskonale:

„Dopókiż będzie to żądanie we mnie,
Ażeby ten świat nic nie mógł bezemnie?"

W tych słowach charakteryzuje Słowacki istotne podłoże wszelkiego romantyzmu.

W „Królu Duchu" w I rapsodzie widzimy bankructwo azjatyckiego, prometejskiego „ja", „które żadnego wyższego prawa ponad swoje osobiste bezprawie uznać nie chce i nie sięga nigdy wzrokiem ponad ciasny widnokrąg arbitralnej swej jaźni", zaś triumf chrześcijańskiego „Nie-Ja" (Norwid). W rapsodzie III-im tak samo maluje Słowacki klęskę Pychy—Prometeanki, w której symbolizuje tendencje prometejskie Towianizmu, a w dalszej projekcji „ducha rosyjskiego" w Kole i Rosję wogóle (próby uzasadnienia tego podałem w № 2—4 „Tygodnika Wileńskiego", 1925 r.).

W rapsodzie IV-ym wreszcie znajdujemy przykład nowoczesnej ideologji chrześcijańskiej, która pragnienie indywidualnego zbawienia ściśle łączy ze sprawą zbawienia społecznego, w przeciwieństwie do wyłącznie indywidualistycznej koncepcji średniowiecznej:

„A tę ofiarę chcę mieć postokrotną,
Nie tylko za się, ale i dla ludzi,
Abym tę otchłań niebios nie samotną
Miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi."

VII. Najpełniejszym jednak i najdokładniejszym wyrazem już nie walki z romantyzmem, ale jego przekroczenia i przezwyciężenia jest twórczość Norwida. Daje on nam długi szereg oświetleń naszych spraw narodowych i ogólno - ludzkich z punktu widzenia katolicyzmu i własnej filozofji pracy. W „Niewoli" (1848) stwierdza bankructwo dotychczasowej literatury romantycznej, którą uważa za produkt niewoli, oraz śledzi wpływy niewoli w całokształtcie życia narodowego. Stwierdza, iż „wielkie indywidualne strzelistości znarowiły smak nasz, i jesteśmy, jako z więzienia wychodzący, z więzienia latami marzeń złocistego, z więzienia, gdzie już brylantowe opony pajęczyn rosą szklistych i pająków samych gwiazdy pokochawszy, **krokiem bardzo powolnym na powierzchnię się przyjdzie wyczołgiwać**, przez coraz to bliższe istności, przez coraz rzeczywistsze określenia. Prace takie... nie mogą być indywidualnego rzeczą pióra".

W „Promethidionie". daje Norwid zarys swej filozofji pracy, która jest warunkiem „socjalnego" zbawienia. Koniecznem jej jednak uzupełnieniem, „sztandarem na prac ludzkich wieży", czyni sztukę, i ostrzega, iż niedźwignięcie jej kopie przepaść pomiędzy inteligencją, a ludem, postaciującym jeno swe myśli, pomiędzy przeszłością a przyszłością narodu.

W „Quidam" i w „Stygmacie" wypowiada Norwid walkę indywidualizmowi, umieszczającemu jednostkę w pustce, poza społeczeństwem i wykazuje ścisły związek pomiędzy losem każdej jednostki i podłożem, z którego jednostka ta wyrosła, przedziwnie tragiczną „symetrję przypadków", co się splatają w fatalne łańcuchy zdarzeń, których nieodwołalnej konsekwencji uniknąć niepodobna. Na każdym z nas ciążą niejako znaki przeszłych pokoleń, „**Stygmaty**", oraz kapitał naszych własnych czynów, skłonności i usposobień, niemal determinujących losy nasze. Wolna wola jest dopiero postulatem, niezmiernie mało dotąd skutecznym i rzadko używanym. Podobnież narody, społeczeństwa i pokolenia pozostają pod rozmaitemi stygmatami, które przejmują wraz z dziedzictwem krwi.

W „Garstce piasku" oraz w „*A Dorio ad Phrygium*" mówi poeta o konieczności ciągłości w historji i kulturze narodowej, gdyż „ten, co się od sumienia historji oderwie, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę się zamienia". Utwory te łączą się z patrjotyczną satyrą Norwida, nazywającego swój naród „narodem, między Sfinksem a Muncją wychowanym". („Kleopatra").

Wreszcie w najważniejszym swym utworze, „O wolności słowa", daje nam poeta zarys swej filozofji. Jest nią tradycjonalizm czy też medjewalizm. „Słowo", czyli Objawienie, jest jedyną zasadą kultury. Odsuwanie się od niego, cofa ludzkość w rozwoju:

„Ludzkość bez Boskości sama siebie zdradza;
Aż dopiero, gdy w eter opłynie niebieski,
Powraca jej majestat i szkarłat królewski".

To też autor broni średniowiecza:

„Bawi mię, gdy dziennikarz albo publicysta
Klnie średniowieczną „ciemność", z której wciąż korzysta.
Ta ciemnota musiała nieźle być użyta,
Gdy się jak świeca topi, a przy niej się czyta.
Ciemnota!, która mimo niezgrabne praktyki,
Stworzyła arcy-dzieła, stworzyła — **języki**!"

I dalej wyśpiewuje poeta wspaniały hymn na cześć mowy narodowej, tej skarbnicy zbiorowego doświadczenia, dziedziczonego przez wieki, oraz na cześć niespożytego funduszu **pracy** szeregu pokoleń, która jest cenniejszą wartością, niż natchnienie „Ksiąg Pielgrzymstwa" (pod tem mianem autor ma na myśli całą naszą poezję romantyczną).

W czasach wreszcie ostatnich przeciw romantyzmowi występuje w literaturze Wyspiański w „Kazimierzu Wielkim", „Warszawiance", „Weselu", „Wyzwoleniu". W „Weselu" odtwarza znowu antynomję romantyczną, konflikt pomiędzy rzeczywistością i marzeniem, symbolizując je w „Chochole" i „Złotym Rogu". Odwraca jednak stały szablon romantyczny, czyniąc właśnie Chachoła-rzeczywistość symbolem dodatnim, zaś Złoty Róg-marzenie — symbolem ujemnym.

Podnieść wreszcie należy gorący i zdecydowany katolicyzm Wyspiańskiego („Klątwa", „Skałka", „Akropolis").

VIII. Przed Europą jedno jest tylko wyjście: wrócić do punktu, skąd się rozpoczęła jej dekadencja, nazwana szumnie wysamodzielnieniem się człowieka, wydobyciem się jego z powijaków, w których go trzymał Kościół. Na Europie sprawdza się doskonale przypowieść Chrystusa o synu marnotrawnym. Zastosował ją do swej współczesności Mickiewicz, który pierwszy w naszej literaturze dał zarys rozumowania, podobny do tego, który tu powtarzam. Europa, wzbogacona bolesnem doświadczeniem czterech wieków, powinna się odrodzić pod znakiem katolicyzmu, *restaurare omnia in Christo*, oczywiście rozwijając nadal to wszystko, co się twórczego ostoi z ruiny kultury ostatnich czterech wieków, i być jeszcze może, iż czasy te, które dziś przeżywamy, nasze dzieci zwać nawet będą *felix culpa*.

Katolicyzm nie jest dziś żebrakiem. Minęły niepowrotnie te czasy, gdy Quinet mógł mówić: „*En Europe est une réligion morte: c'est Catholicisme*". Bogatszy jest dziś katolicyzm, niż kiedy. Przodujące umysły we Francji, Włoszech, Anglji, Niemczech, — to czynni, praktykujący, walczący katolicy. Zwłaszcza to się rzuca w oczy we Francji, gdzie np. szczyty literatury są prawie wyłącznie katolickie. (Patrz dobre studjum Zygmunta Czernego w roczn. II, t. I „Nowego Przegl. liter. i sztuki" p. t. „Rozwój liter. franc. po r. 1900").

Niestety, o współczesnej Polsce tego się nie da powiedzieć. Uświadomienie katolickie jest wśród naszej inteligencji bardzo słabe. Pod tym względem nie jest ona warstwą przodującą. Całkiem przeciwnie. Religijność ludu jest wciąż dla niej ideałem niedościgłym.

Zakończę te rozważania słowami Brzozowskiego („Krokwie", 1920):

„Kościół jest tem, czem uczyniliśmy go od czterech wieków... Niema w nim nauki, sztuki, filozofji, rozumienia życia społecznego, bośmy wyrzucili to wszystko z Kościoła.

Stąd wywód, że przez odbudowanie duszy własnej dla Kościoła, przez szczery powrót do jego prawdy, idzie droga do odrodzenia społecznego, że specjalnie w Polsce chodzi o to, by wiarę uczynić wszechobecną i czynną, by odzyskać nasze dziejowe stanowisko przez nawrót do wielkiej tradycji historycznej, która polega na utożsamieniu sprawy katolicyzmu i kultury zachodniej na wschodzie z naszem narodowem istnieniem".

STANISŁAW CYWIŃSKI

ŻEROMSKI — NAUCZYCIEL

NIKT, kto czytał Żeromskiego, nie zaprzeczy, że autor „Ludzi bezdomnych" pojmował swoją misję pisarską jako misję przedewszystkiem nauczycielską. Prawdziwość tej obserwacji potwierdzają słowa samego Ż-go, który w „Początku świata pracy" takie wypowiada zdanie:

„Rysowałem wielokrotnie fikcyjne postacie takich patrjotów i owo zrzeczenie się dóbr na rzecz ludu propagowałem przez całe życie, — psując do gruntu jaką taką wartość artystyczną swych pisanin".

A i bez tego wyznania nauczycielskie tendencje Żeromskiego byłyby oczywiste. Przypomnijmy sobie jego powieści społeczne (stanowiące *gros* twórczości autora „Przedwiośnia"), w których dobrą połowę książki wypełniają zazwyczaj rozważania socjalne, moralne, religijne,—przypomnijmy sobie jego liczne rozprawy, niekiedy obszerne, w których Żeromski występuje z projektami nowych urządzeń, bądź reformy wewnętrznej, moralnej. Poucza zawsze, poucza z zapałem, poucza wszystkich.

Celem niniejszego artykułu jest zbadanie wartości tego nauczania, ideologicznej i wychowawczej. Dla krytyka, podejmującego to zadanie, okoliczności składają się pomyślnie, w spuściźnie bowiem pisarskiej Ż-go znajdujemy pracę, syntetyzującą wysiłki nauczycielskie autora, streszczającą jego poglądy socjalne i moralne, pracę, dającą wyraz dojrzałej myśli pisarza, bo pochodzącą z ostatnich lat jego życia. Mam na myśli „Początek świata pracy", na której to rozprawie przedewszystkiem oprzeć się zamierzam.

Na str. 10 — 11 wspomnianej rozprawy znajdujemy następujące zdanie:

„Zasady jego (syndykalizmu) ujawniły się przedewszystkiem w genjalnej książce George'a Sorela p. t. „*Reflexions sur la violence*"... Dalej: „Ta najbardziej nowoczesna, najskrajniejsza i najprostsza metoda organizowania życia publicznego, która znalazła olbrzymi posłuch wśród proletarjatu Francji, Anglji, Włoch, Hiszpanji, a oddziałała bardzo wydatnie na tak zwanych socjalistów niezależnych w Niemczech, domaga się choć pobieżnego tutaj potrącenia i wykładu. Polega ona głównie na wytwarzaniu antonomicznego, niezależnego życia różnorakich związków zawodowych, czysto robotniczych, które winny powołać do życia główny instytut pracy".

W dalszym ciągu Ż-ki rozpoczyna zapowiedziany wykład zasad syndykalizmu. Do wykładu tego wkrótce powrócę. Tymczasem postaram się w najgrubszych zarysach przypomnieć podstawowe myśli książki Sorela, którą Ż-ki jako genjalną kwalifikuje, a której przewodnie idee mają być teoretyczną osnową samegoż „Świata pracy".

Dwa są ogniska myśli sorelowskiej: jedno pozytywne, drugie negatywne. Pozytywne — to idea autorytetu pracy. Z tej idei wykwita system organizacji pracy na podstawie li-tylko wewnętrznych właściwości procesu produkcji, w zupełnej niezależności od wszystkiego, co nie jest motywem twórczym i dobrem wykonywanego dzieła w szczególności od wszelkiej spekulacji finansowej.

Ta idea siłą swego ciążenia rozpala drugie, negatywne ognisko: ideę walki z kapitalizmem i socjalizmem parlamentarnym. Z kapitalizmem, bo podporządkowując swoim interesom pracę, kazi jej czystość, wprowadza do jej procesów wewnętrznych element obcy, hamujący, lub osłabiający te procesy. Z socjalizmem parlamentarnym, bo w działaniach swych zdąża nie do zdobycia niepodległości pracy, lecz raczej do udostępnienia robotnikom tych dóbr, któremi dzisiaj kapitał rozporządza, stając się w ten sposób tego kapitału konkurentem raczej niż wrogiem, bo hasło rewolucji socjalnej schodzi w jego rękach do roli straszaka, zdolnego wymusić na kapitale ustępstwa na rzecz klasy robotniczej, bo wreszcie ujawnia swą obcość wobec immanentnych zagadnień pracy, powołując na przywódców ruchu socjalistycznego nie pracowników-twórców, lecz deklamatorów i politycznych macherów [1]). Psychologicznie rzecz biorąc, tkwi cały Sorel w tych dwóch ideach. Wszystką treść jego pism możnaby z nich wyprowadzić.

A teraz powróćmy do Żeromskiego. Oto jakiemi słowami rozpoczyna on swój wykład zasad syndykalizmu.

„Gdy dziecko przyjdzie na świat w robotniczem stadle, nim czas naturalny upłynie, musi położnica wstawać do roboty. Noworodka wykarmia smoczek z rozcieńczonem mlekiem, mniej lub więcej fałszowanem. Kto fałszuje to mleko i inne płyny odżywcze? Robotnik. W czyim interesie to czyni? Czy w swoim? Nie. W interesie jakiegoś właściciela, przekupnia, dorobkiewicza. Skoro dziecko podrośnie i zamiast flaszki z mlekiem smokcze cukierek, zabarwiony na czerwono, niebiesko, zielono, pomarańczowo, wysysa wraz z sacharyną rozmaite chemikalja. Któż sfabrykował tę ohydną truciznę? Robotnik dla zysku jakiegoś dorobkiewicza, przemysłowca, złodzieja" i t. d.

Następne stronice, 12 i 13, nic już zasadniczo nowego do tych myśli nie dodają. Dopiero na str. 14 znajdujemy projekt wyjścia z żałosnej sytuacji, zobrazowanej na stronicach poprzednich. Oto jak brzmi to rozwiązanie:

„Lecz jeżeli w każdym fachu pracownicy zwiążą się w zawodowy syndykat a związek syndykatów utworzy organizację główną, rodzaj giełdy pracy, która zabezpieczać będzie w stanie pozbawić pracodawców siły roboczej za pomocą strajku, wówczas układniejszym i cnotliwszym stanie się pracodawca".

W dalszym ciągu (str. 15) rysuje Ż-ki obraz życia przyszłego społeczeństwa, zorganizowanego na zasadach syndykalizmu — obraz pełen akcentów entuzjazmu i wiary w wysoką wartość moralną tego systemu.

Gdyby książka Ż-go była tylko aktem apostolatu moralnego, nawoływaniem ku dobru, gromieniem zła,

---

[1]) Znana jest pogarda Sorela dla zabitego w pierwszych dniach wojny menera francuskiego socjalizmu, Jana Jaurèsa. Pisarze t. zw. reakcyjni nie wypowiedzieli chyba tylu szyderstw, tylu lekceważących złośliwości pod adresem wszystkich wielkości i małości socjalistycznych, co jeden Sorel pod adresem najpopularniejszego przedstawiciela francuskiego socjalizmu.

nieuczciwości i chciwości ludzkiej — możnaby powiedzieć, że spełniła szczytną rolę popularnej książki propagandowej i na tej ocenie poprzestać. Ale książka ta poza tendencją moralizatorską ma, i to przedewszystkiem, szerokie uroszczenia socjologiczne, autor widzi w niej zarys systemu socjalnego, należycie uzasadnionego rozumowo i doświadczalnie. A więc socjologja, przytem poczuwająca się do pokrewieństwa z Sorelem. Rozejrzyjmy się w tej sprawie.

Biorąc rzecz ze strony formalnie-słownej, bliskość obu koncepcyj: Sorela i Ż-go — jest niewątpliwa. Tu i tam mówi się o niezależności pracy od kapitału, o jej autonomicznej organizacji. Syndykaty, zrzeszenia na podstawie interesów wytwórczości, wolne od jakiegokolwiek nacisku zzewnątrz—oto schemat który zarówno do pomysłów Ż-go jak i Sorela zastosować można. Ale obaj pisarze podchodzą do zagadnienia ze stron przeciwnych, przyczem przeciwieństwo nie jest formalne, zewnętrzne, lecz zasadnicze.

Punktem wyjścia dla Sorela jest kult pracy—dla Ż-go jak to widać choćby z dwóch krótkich cytat tu przytoczonych — litość nad cierpiącym człowiekiem, która pcha autora „Ludzi bezdomnych" na poszukiwanie ratunku. Wszystkie krytyczne, czy pozytywne pomysły Sorela z jednego płyną zawsze źródła, którem jest interes pracy, myśl o jej absolutnym rozkwicie i panowaniu. Chodzi zawsze o to, aby pełnia pracy triumfowała. Przy tej zaś okazji może rozkwitnąć dobrobyt i szczęście — kwestja to podrzędna, gdyby zaś ktokolwiek wysunął ją jako czołową—należałoby w myśl takiego hasła prowadzoną akcję najbezwzględniej zwalczać.

U Ż-go, odwrotnie: szczęścia ma zaznać człowiek—oto sprawa zasadnicza, zaś na tle tego szczęścia, które wyobraźnia rysuje autorowi w postaci syndykalistycznie zorganizowanego społeczeństwa — rozwinąć się powinna jakaś słodka idylla pracy, która to szczęście pogłębi i utrwali. Dla Sorela jest syndykat warsztatem pracy twórczej przedewszystkiem, — dla Ż-go raczej narzędziem, służącem do poskromienia pracodawcy-wyzyskiwacza. Ktoś, kto odpowiedziałby na to, że sprzeczność jest tu „tylko" psychologiczna, zaś zbieżność tkwi w programie—a przecież taka argumentacja nie jest u nas rzadkością — dałby tylko dowód, że obcy jest mu świat myślowy obu pisarzy i że w analizach swoich nie wychodzi poza najprymitywniejsze zestawienia słów. Sorela kult pracy — to nie „nastrój" literacki, ani żaden pasorzytujący twór sentymentu na ciele konkretnej myśli, konkretnego programu. Kult ten jest tu dyktatorem i prawodawcą. Każde rozwiązanie zagadnienia socjalnego, prawnego, gospodarczego, każde rzucone hasło, każde posunięcie taktyczne jest w systemie Sorela emanacją owego skupionego w sobie kultu pracy, jest jego postacią słowną dostosowaną do danej konkretnej sytuacji lub zagadnienia. Zrozumienie sorelizmu z pominięciem tego heroicznego elementu walki—pracy, żądnej zwycięstwa, a nie wywczasów—jest tak samo niemożliwe jak niemożliwe byłoby zrozumienie twórczości Beethovena poza sferą dźwięku muzycznego.

Demaskując to zasadnicze nieporozumienie między Ż-im a Sorelem którego za mistrza sobie nasz pisarz wybrał,—nie powoduję się ambicjami pedanta-szperacza, który czepia się słabych stron niepospolitego bądź co bądź dzieła, w mniemaniu, że ich wykazanie może obrócić w niwecz to, co wytworzył olbrzymi niezaprzeczenie talent. Myślę jednak, że zwrócenie uwagi na tę niezwykłą nonszalancję, z którą autor „Przedwiośnia" szafował cudzemi myślami dla celów sprzecznych nieraz z ich duchem, nie jest bez znaczenia dla charakterystyki Ż-go jako nauczyciela i ideologa. Wiem dobrze, że otwieram tu pole do deklamacji profesjonałom „głębokości", którzy mogą zatrąbić w nutę: „genjusz jest ponad prawami—wolno mu czerpać ze skarbca wszechrzeczy, gdy chce ucieleśnić wizję, co się (zapewne przez jakieś „wyżycie" lub „wżycie" — zwyczajnego sobie „przeżycia" nikt się już dziś nie przestraszy) wzrokowi jego wnętrznemu jawi..."—no, ale na to niema rady. Istotne jest to, iż Ż-i w książce, będącej, wedle własnych słów jego „wyciągiem ideowym z pism życia", mówiąc o pisarzu, którego nazywa „genjalnym" (w ten sam sposób określa Ż-i Sorela w „Projekcie Akademji Literatury", wydaniu z r. 1925, przejrzanem przez autora — wysoka zatem opinja o francuskim pisarzu nie była lekkomyślnie rzuconym frazesem)—traktuje myśl jego jako rezonator dla własnego sentymentu. Na przykładzie tym poprzestanę narazie. Dalszy ciąg niejednej jeszcze dostarczy ilustracji. Tymczasem zamykam dotychczasowe rozważania w następującej definicji:

> Pouczenia ideologiczne Żeromskiego są zbiorem myśli, powiązanych na podstawie ich podatności emocjonalnej jako czynników podtrzymania w sobie i czytelniku wysokiego napięcia pewnych uczuć, szczególnie uczucia litości dla nieszczęśliwych i przeświadczenia, że się na ich nieszczęścia znalazło ratunek. Żeromski nietyle rozwiązuje problematy, ile toruje ujście energji emocjonalnej, gromadzącej się dookoła problematów.

Nie mogę tu nie zaznaczyć, że w innem, aforystycznem, jak zwykle u autora „Legendy młodej Polski" sformułowaniu, pogląd wyżej streszczony wyrażony został przez Stanisława Brzozowskiego w jego „Pamiętniku" (str. 123). Brzozowski pisze: „Myśli są u Żeromskiego tylko po to, by budzić echa. Nie służą do poznania, ale wywołują wzruszeniowe następstwa". Ż-ki ze swej strony dostarczył niezbitych dowodów na potwierdzenie słuszności tej obserwacji w swym „Projekcie Akademji Literatury". Mianowicie uskarża się tam (str. 46 — 47) na wybujałe uroszczenia krytyki, która usiłuje narzucić pisarzom swoje poglądy i nadawać kierunek ich twórczości. Zarzut ten, teoretycznie słuszny, ilustruje Ż-ki na przykładzie Brzozowskiego. Następujące słowa autora „Legendy", wyjęte z jego „Pamiętnika" (str. 40) mają tu służyć za dowód:

„Dlaczego nie mogę pracować jakbym mógł, bo mógłbym. Zmieniłbym charakter polskiej literatury na całe pokolenia i byłbym szczęśliwy, ale muszę żyć w ciągłym braku książek i dręczyć się wyrzutami sumienia, gdy się kształcę zamiast pisać". „Widzimy wiec, jakie to szczytne ambicje rozsadzają łona krytyków"—konkluduje Ż-i. Nieco zaś dalej pisze. „Najrozmaitsze temperamenty wielorakie, ukształtowania natur twórczych, pasye nowości i rzuty niespodziewanych upodobań zależałyby od ustawy, wygotowanej przez majstra jednego na pokolenia".

Słowem cytowany ustęp z „Pamiętnika" interpretuje Ż-ki w tym sensie, że B-mu chodziło o arbitralne narzucenie się pisarzom, o poddanie ich twórczości jakiejś bezsensownej w swym ślepym despotyzmie dyscyplinie, czego rezultatem byłoby zatrucie naturalnych źródeł natchnienia artystycznego.

Cokolwiekby się myślało o Brzozowskim, niepodobna w tym sporze nie przyznać mu racji. Nie trzeba sięgać daleko, aby dojrzeć powierzchowność wniosku Ż-go, aby zrozumieć, że B-mu chodzi o coś wręcz przeciwnego domysłom autora „Popiołów". Wystarczy poprostu przeczytać w całości odnośny ustęp z „Pamiętnika". Oto, co pisze tam między innemi Brzozowski:

„Gdybym miał siłę ku temu, gdybym miał czas po temu rozpocząłbym kampanję przeciwko hegemonji niemiecko-moder-

nistycznych punktów widzenia w Polsce. Ta mieszanina rococa i brutalności, bezdziejowości, braku smaku". I w zakończeniu: „*Memento*! Umacniaj stosunki z tym światem, wrośnij weń. Narzuć go samemu sobie i Polsce. Ten stan rzeczy trwać nie może..."

Każdy, kto nie jest urodzonym werbalistą, wyczuje tu coś zgoła odmiennego niż to, czego dopatrywał się Ż-i. Widoczne jest, że chodziło B-mu o odsłonięcie umysłom polskim pewnych prawd, które on sam widział,—które go olśniły i które w przekonaniu autora wyzwoliłyby moc energji twórczej, zrzuciłyby z nas jarzmo różnych obciążających ducha suggestyj ideologicznych. *Il faut méditerraniser la littérature*,—parafrazując Nietzschego, tak możnaby scharakteryzować tendencję omawianego ustępu z „Pamiętnika". Chodziło autorowi o wyzwolenie myśli polskiej z pod wpływu mglistej niemieczczyzny, o uzdrowienie jej w zetknięciu z duchem romańskim, słowem o zdobycie dla niej życia i niezależności. Ale cóż to wszystko znaczy wobec faktu, że przecież są wydrukowane słowa: „Zmieniłbym charakter literatury polskiej na całe pokolenia"? Słowa te przysłoniły Ż-mu rzeczywistość psychologiczną cytowanego ustępu i stały się, według trafnego określenia B-go, tylko środkiem do wywołania pewnych następstw wzruszeniowych (uniesienia wolnościowego i oburzenia na „tyranów myśli").

Nasi krytycy, z namaszczeniem śledzący każdy zwrot ideologiczny u Żeromskiego, w skupieniu ważący każde rzucone przezeń hasło, myśl, wezwanie — wykonywują prawdziwe Syzyfowe prace. Przypominają tego esseistę, o którym mówi Hebbel, że znalazł się w położeniu anatoma, sekcjonującego konia, w myśli, że sekcjonuje lwa — anatom zapomniał dokonać oględzin naocznych. Krytyk—ogarnąć spojrzeniem całość dzieła, które analizuje. Nasi egzegeci Ż-go nie zadali sobie pytania, kim jest ten, kogo badają, lecz ze skupioną uwagą, a namaszczoną pedanterją rzucili się na dzieło. Krytyka, kładąca nacisk na treść objektywną przeróżnych pomysłów Ż-go, widząca w nich odbicie jakiejś ideologji społecznej odbywającej własną wewnętrzną ewolucję nie spostrzega, że w istocie nie chodzi przecież Żeromskiemu ani o wykrycie praw, rządzących pewną dziedziną rzeczywistości, ani o znalezienie właściwej postawy czynnej w pewnym konflikcie motywów — a te właśnie sprawy interesują uczonego i reformatora społecznego — lecz jedynie o takie nastrojenie psychiki, aby wzmogła się jej odbiorczość uczuciowa i zdolność nieskończonego snucia czysto lirycznych konsekwencyj z tego stanu. Krytyka tak ślepo ufająca słowu pisanemu pomimo, a raczej z powodu swej „objektywnej ścisłości" skazuje siebie na bezplanowe wędrówki po ścieżkach, wyznaczonych przez kaprys lub przypadek, schodzi na bezdroża, z których cofnąć się będzie coraz trudniej, a które tem silniej odwodzić będą myśl od właściwej interpretacji twórczości Ż-go, im bardziej będą błyszczały „ścisłością" i „naukowością".

W świetle powyższych uwag słynna i tak niepokojąca opinję publiczną kwestja „lewicowości" Ż-go ukazuje się nam w innej zgoła postaci, niż zwykła to przedstawiać krytyka potoczna. Werbalizm nie święcił nigdy większego triumfu jak w dniu, w którym z powodu ukazania się „Przedwiośnia" okrzyczano Ż-go jako komunistę.

Coprawda nastrój umysłów pewnej części naszej inteligencji znakomicie sprzyja takiemu pomieszaniu pojęć. U nas socjalizm odegrał śród inteligencji rolę pijawki, odciągającej zgęstniałą krew sentymentalizmu społecznego, który szukał ujścia, a do głębszych form kultury uczuciowej miał wyraźną niechęć, którą ma zawsze cherlactwo do zdrowia. Socjalizm agitacyjny z jego wyraźnemi rozwiązaniami i potężnym systemem deklamacyjnym, apelującym do owego sentymentalizmu, nadawał tu się znakomicie, ta forma socjalizmu utarła się i ją właśnie ma inteligent na myśli, wymawiając słowo „socjalizm". Tem tylko można sobie wytłumaczyć, że autor „Dziejów Grzechu" uchodzi u nas za pisarza „socjalizującego" a bodaj i „komunizującego". Jednak dziś właśnie, kiedy socjalizm z piwnic i suteren dobył się na powierzchnię ziemi i począł budować, występując już nie jako apostoł prześladowanych, lecz jako rządca a nawet dyktator—tego rodzaju sentymentalne jego pojmowanie nie może się w żadnem już środowisku utrzymać. I dzisiaj właśnie wiemy już chyba wszyscy — zwolennicy czy wrogowie socjalizmu, że uczuciowy argument „krzywdy społecznej" odegrał (a po części odgrywa jeszcze) rolę zaczynu agitacyjnego wśród inteligencji, że jest kamieniem węgielnym socjalizmu gadającego, a jednem z niezliczonych kółek maszynerji agitacyjnej socjalizmu budującego. Utrzymanie przy życiu owego sentymentu współczucia z pokrzywdzonymi, sentymentu nie będącego emocjonalnym odpowiednikiem doktryny, reprezentującego raczej wyrodniejące w oderwaniu od swych podstaw chrześcijaństwo, byłoby w fazie rozkwitu socjalizmu nawet błędem taktycznym, mogłoby się bowiem łatwo przeciw samemu socjalizmowi obrócić, wytwarzając atmosferę współczucia z nieszczęsnym, sponiewieranym i ponad wszelką miarę surowo pokrzywdzonym burżujem, a przez to osłabić poczucie klasowe proletarjatu, na którem socjalizm swoje rachuby opiera.

Sentyment ten w duszach zaślepieńców stał się przyczyną rozkładu głębszych, z wiekowej kultury wyrosłych postaci uczuciowości; rozkład ten udało mu się posunąć dość daleko, ale też tutaj kończy się jego „twórcza" rola. A nie kto inny przecież jak właśnie Ż-ki brał ową przypowieść o krzywdzie społecznej za punkt wyjścia swoich rozważań; ów powierzchowny, agitacyjny element socjalizmu był tym hakiem, którego czepiała się jego uczuciowość, stąd wysnuwał swoje bojowe argumenty przeciw dzisiejszemu światu, stąd czerpał zapał do budowy nowego życia.

Skoro jednak sam ów motor nie należy do socjalizmu, lecz bezwiednie lub świadomie jest na jego usługach tylko—to niepodobna o „socjalizowanie" pomawiać tego, czyj jedyny związek z doktryną tkwi w tym właśnie prowizorycznym, akcesoryjnym czynniku. Robiąc z Ż-go komunistę, udowadnia się tylko niezbicie własną nieznajomość pisarza, no i najniepotrzebniej ofiarowuje się bogaty, bądź co bądź, prezent drogim przyjaciołom.

Pouczenia Ż-go, skierowane w istocie ku sprawom czysto uczuciowym, noszą jednak szatę dialektyczną, dają pozór pewnego systemu zorganizowanej myśli. W ocenie tej dialektyki, tego systemu, książka Sorela, o której z takim entuzjazmem odzywa się Ż-i, może nam być wydatną pomocą. Jest ona wyjątkowo pouczająca jako zbiór tez, godzących w sedno dialektyki Ż-go. Z tego też względu pozwolę sobie do książki tej znowu nawiązać.

Oto otwieram „*Réflexions sur la violence*" na str. 207 (wyd. 4 r. 1919), gdzie znajduję następujące zdanie:

„...zdawało im się (utopistom), że ich pomysły są tem więcej przekonywające, im więcej wykład tych pomysłów odpowiada wymaganiom książki szkolnej. Myślę, że należałoby odwrócić ten porządek i powiedzieć, że trzeba mieć tem większy brak zaufania do projektów reform socjalnych, im łatwiej pozornie rozwiązują trudności".

Słowa Sorela atakują całą dialektykę Żeromskiego. Nasz pisarz uważa sprawę za dobrą, o ile udaje mu się przytoczyć na jej korzyść argumenty zdrowego rozsądku, czyniące zadość wymaganiom jednego z licznych wzorów obiegowej dialektyki. Oto przykład. Na str. 30 „Początku świata pracy“ Ż-ki uprzedza zarzut przeciwników projektowanej przez niego reformy rolnej, iż stoi ona w zbyt jaskrawej przeczności z naturalnym pociągiem naszego chłopa do bezpośredniego, zagrodowego władania—twierdzeniem, że na zarzut ten odpowiedzieć można tysiącem zaprzeczeń. Sam zaś autor przytacza fakt, że chłopi bezrolni pracowali przez wieki na cudzych gruntach i ta praca, wykonywana w złych warunkach, bo pod przymusem—była jednak możliwa, dlaczegóżby więc miała być niemożliwa ta sama praca, wykonywana w dobrych warunkach, bez bata i z widokami ogromnych zysków ogólno-społecznych. Słowem: skoro coś się robiło w złych warunkach bez żadnego, albo prawie żadnego zysku bezpośredniego czy pośredniego, to można to samo robić w dobrych warunkach z oczywistym zyskiem dla siebie i bliźnich...

Chyba każdy rozumie, że i na to można odpowiedzieć tysiącem zaprzeczeń, wziętych z tego samego zbiornika uproszczonej psychologji. Więc można powołać się na przyrodzone lenistwo ludzkie, które sprawia, że człowiek woli raczej mniej mieć i gorzej żyć, niż intesywnie pracować, można mówić o roli dziedziczenia, będącego potężną podnietą do pracy dla dzieci właściciela ziemskiego i o tem, że z ustaniem tej podniety zmaleje wydajność pracy. A na to wszystko można znowu odpowiedzieć, że nowy ustrój „do gruntu przerobi duszę ludzką“, że „w nowe skieruje koryto żywe siły narodu“ i t. d. Nasza inteligencja przepada za takiem dialektycznem przekomarzaniem się—nie dziw też, iż Ż-ki jest jej ulubionym pisarzem. Oczywiście cała ta wymiana argumentów nie pozostaje w żadnym realnym stosunku do życia i w najmniejszym stopniu nie wpływa na nie. Społecznik-reformator zgoła innemi idzie drogami, organizuje on w szersze zrzeszenia grupy ludzkie, w których nagromadziła się pewnego typu konstrukcyjnie zorjentowana energja społeczna. Tę energję podtrzymać, rozwinąć i wtopić w szerokie masy—oto co jest programem reformatora. W działaniach swych musi on być ustawicznie czujny, umieć w każdej chwili uderzyć w ten klawisz psychiczny—swego środowiska, którego poruszenie właśnie teraz, właśnie w tych warunkach osiągnie efekt pożądany ze względu na dalszy tok akcji. Jest to zawsze plan bitwy raczej niż *exposé*. Dialektyka i pięknie rozwijane tezy są na miejscu tam, gdzie chodzi o wykazanie wszystkich związków strukturalnych w jakimś procesie społecznym, który już się odbył, tam zaś, gdzie stosuje się ją do akcji planowanej—jest zwykle systemem reminiscencyj rozmaitego pochodzenia, których użyteczność praktyczna jest znikoma.

(Dok. nast.) JAN EMIL SKIWSKI

Z POEZJI EMIGRACJI ROSYJSKIEJ

PŁYNIE ŁABĘDŹ...

Płynie łabędź wśród marznącej wody—
Nuży go trud.
Wkrótce srebrne okują go lody,
Zraniwszy wprzód...
Wyszedł wreszcie na lód łabędź biały,
Nurza się w śnieg,
Bo nieszczęsny ptak ten osowiały
Nie zna, co bieg...
Gwiazda w górze uśmiechnie się może
Hen, z niebios tła,
Gdy bezsilny, upadnie niebożę
Jak ja!.. jak ja!..

DYMITR MEREŻKOWSKIJ

W CICHEJ IZDEBCE

W cichej izdebce, przed ikoną,
Patrona swego czcząc narodu,
Za Rosję modlę się shańbioną,
I widzę: ranek, głąb ogrodu,
Ogromny kamień grób zakrywa,
Strażników zbroje błyszczą w dali
I widzę jeno: Miłość żywa
Grobowy kamień znów odwalił..

ALEKSY SMIRNOW

SZARE PTAKI

Hej! szare my ptaki!.. My ptaki niedoli,
A w pieśni brzmi naszej tęsknota i żal,
Nas z gniazda wygnano... Na obcej my roli
I lecieć nie mamy gdzie w dal...
Za nami mórz wielkie zostały przestrzenie,
Za nami kraina najdroższa jest nam,
Tam łzy i katusze, tam głód i cierpienie
I groby najbliższych są tam...
Że piersi jej nasze odważnie broniły
Że strzegły tradycji, co dziejów jest tłem,
Nas stada jastrzębi szarpały i biły,
Szaleństwem pijane wciąż swem...
I nasza gromadka od strasznej pożogi
Ratując się, poszła w rozsypkę wśród burz,
Pierzchnęła, gdzie sięgnąć nie mogły jej wrogi,
Szukając schronienia dla dusz...
Gdy orkan w nieznane rozprószył nas szlaki,
Gdy w dali błyskawic złocisty lśnił grot,
Gdzie spokój panuje, znużone my ptaki
Tam z pieśnią zwracamy swój lot...

. . . .

Hej, szare my ptaki!.. My ptaki żałoby,
Lecz chcemy do końca jak jeden trwać mąż,
Do ziemi ojczystej, gdzie przodków są groby
Sercami zrywamy się wciąż...
I mocno wierzymy, że chwila nas czeka,
Gdy sił już nie mając, by cierpieć bez słów,
Nas Matka-Ojczyzna zawoła zdaleka:
„Synkowie, wracajcie tu znów!
„Okrutne jastrzębie owładły mną zdradnie,
I żrą moje piersi i toczą z nich krew,
Wracajcie, synkowie!“. A wtedy gromadnie
Polecim z radością na zew!..
Czekamy wezwania... Lecz milczą wciąż groby,
Jedynie mgły siwe nam śląc ze swych głusz...
Hej, szare my ptaki!.. My ptaki żałoby
Zmęczonych rosyjskich wszech dusz!..

Ks. F. KASATKIN-ROSTKOWSKIJ

spolszczyła S. M. S.

№ 3 „MYŚLI NARODOWEJ" SKONFISKOWANY

na mocy zarządzenia Komisarza Rządu m. st. Warszawy, zanim zdołaliśmy go wydrukować. Z urzędowego zawiadomienia p. Komisarza dowiadujemy się, że nakaz konfiskaty nastąpił z powodu fejletonu Aleksandra Świętochowskiego „Liberum veto".

Obecny Nr. 4 zawiera wszystko to, co było w nr. 3, z pominięciem fejletonu Aleksandra Świętochowskiego.

GŁOSY

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

W DN. 18 stycznia rb. Aleksander Świętochowski skończył lat 77. W tym też roku bieżącym upływa 60 lat jego pracy pisarskiej. Zaczął ją w r. 1867 w „Tygodniku Ilustrowanym" od artykułu „Dzisiejszy Kazimierz" pod pseudonimem Henryka Dołęgi.

Na tej rozległej przestrzeni lat, gdy teraz w nią spozieramy, zacierają się barwy haseł, pod których sztandarem młody Świętochowski wojował, aby w Polsce zrobić miejsce prawdzie, kultowi rozumu, prawom człowieka, pracy od podstaw, a które w swoim czasie dzieliły Polskę oświeconą na obozy. Dziś, patrząc na te czasy ze stanowiska historycznego, szczęśliwi jesteśmy, że możemy ramię w ramię pracować z nim w nowych warunkach, nie walcząc z sobą, owszem w porozumieniu: „Wszyscyśmy po swojemu o tę właśnie Polskę wojowali. Myślmy, co dalej z nią robić!".

Na to, żeby Polska miała dzisiaj myśl, pracowały w historji najnowszej pokolenia romantyków, pozytywistów i demokratów narodowych. Z tych trzech uwarstwień dziejowych wytworzyła się dzisiejsza synteza myśli politycznej. Ich historyczną własnością jest obowiązująca naszą wolność myśl o wielkiej Polsce. Ci, którzy dożyli tej Polski, dochowując płomień idealizmu politycznego, znaleźli się teraz w jednym obozie, mając przeciwko sobie obóz ludzi, którzy do niej doszli wszystkiemi innemi mechanicznemi drogami, ale nie drogami historycznemi pracy narodowej. Niczego dla siebie nie żądając, gdy im o łup troska nieznana, do jednej rzeczy mogliby rościć sobie prawo—do szacunku powszechnego.

W wolnej Polsce, gdy fale życia publicznego wezbrały i rozkołysały się, piraterja bierze czasem górę nad osiadłymi historycznie rybakami prawdy narodowej. Wraz z dewaluacją osobistości nastała era wiązania ludzi w paczki, zwane partjami i znaczenia etykietami. Świętochowskiemu, który na swej walizie po długiej podróży miał różne znaki (pozytywista, polski Wolter i t. p.), chciano przylepić markę lewicy. Ale to się nie udało. Zrobił kilka rzeczy, które zraziły do niego ludzi, szacujących los Polski niżej korzyści partyjnych i osobistych. Stworzył np. (1919) Związek pisarzy Orła Białego i nastawał, aby właśnie tak go nazwać. Nie licząc, co mu Polska da, oddał Państwu wszystko co miał, cały majątek: dwie szkoły przez siebie stworzone w Bratnem (pod Ciechanowem) z gospodarstwem i ziemią. Jako kurator tych szkół płacy za trud ze skarbu nie przyjął, orderu (o którego skreślenia zresztą lewica zabiegała) odmówił. Pozostał wyrobnikiem literackim, zarobkującym na głodowy budżet, co nie przeszkadza mu po pańsku łożyć pracę w badania naukowe. W rezultacie pracuje dziś, jak przez całe życie, przy biurku po kilkanaście godzin dziennie.

W sferach, traktujących sprawy „realnie", nie umiano na jego czyny znaleźć miary. Nadomiar jako publicysta, wbrew oczekiwaniom, zajął stanowisko krytyczne wobec żydów, w których czasu niewoli widział pobratymców w walce z uciskiem, oświadczył się za nacjonalizmem, a w dodatku w sferach „urbanistycznych" niemiłe wywołał zdziwienie, biorąc się do pisania wielkiego dzieła: „Historji chłopów w Polsce". Teraz właśnie w 60 roku pisarstwa swego skończył tom drugi tego kapitalnego dzieła. Wszystkim, którzy wykreślali w nowej Polski księdze pozycje narodowe i historyczne — którzy Orła Białego radzi byli obskubać z piór i klejnotów koronnych, którzy nadać chcieli pokoleniu swem i poczucie realnego życia polskiego przez naukę brania, nie dawania—wszystkim tym zrobił Świętochowski zawód. Nie zrobił zawodu tym, którzy w nim zawsze widzieli wiernego głosowi krwi bojownika cywilizacji polskiej.

Św. nadawał nazwiskiem swojem markę całemu okresowi dziejów duchowych Polski, ogniskujących się w Warszawie. Historyk Adam Szelągowski do zilustrowania tego okresu w swoich dziejach nowożytnych wybrał portret właśnie Świętochowskiego. Historja literatury uzasadniła już, dlaczego jego imię literackie przechodzi do potomności w blaskach sławy. Dosyć przeczytać dzieła Chmielowskiego, Chlebowskiego, Brücknera, Wojciechowskiego, Szyjkowskiego i in. O dramatach jego pisze Brückner, że „pozostaną na zawsze w literaturze. Z Asnykiem wysuwa się Świętochowski na samo czoło literatury polskiej w okresie jej pozytywistycznym". Jako publicysta zasłynął w swojem „Liberum veto", które pisywał w „Prawdzie" lat 30, a teraz pisuje w „Myśli Narodowej". Zwalczał tam zawsze nielitościwie wszelkie przesądy, fałsze i nieprawości, — jak powiada Brückner — pisał je owym „stylem brylantowym, jakiemu polszczyzna naszych najwytworniejszych stylistów rzadko dorównywa, nigdy go nie przewyższa".

Bezwzględny czciciel rozumu i chłodnego piękna, nie obronił się jako artysta, sercu swemu. Tłumione nakazem ducha czasu uczucie, będące zawsze podłożem jego duszy, panuje dzisiaj nad nią despotycznie. Miarą gniewu jego w tem, co teraz pisze, nie jest chęć dokuczania nikomu, lecz miłość sprawy, której broni. Troska o społeczeństwo, o jego stan dzisiejszy i o przyszłość narodu wypełnia wszystkie chwile jego życia. Westchnienie jego najgłębsze wyraziłoby się w słowach Ariosa z „Duchów": „Boże, daj sercu mojemu tyle miłości, ile jest w sercach ludzkich cierpienia!".

Nestorowi naszego piśmiennictwa, najwynioślejszej między pisarzami Orła Białego postaci historycznej wolna Polska winna jest hołd. Winna z tytułu wdzięcznej odpłaty temu, który całe życie szukał Prawdy i doszedł mądrością, że ona mieszka w sercu, wziąwszy na się postać—Powinności narodowej. Z. W.

O WOLNOŚCI SŁOWA

DZISIEJSZY Prezes Rady Ministrów, p. Józef Piłsudski, ogłosił w r. 1903 nakładem krakowskiego „Naprzodu" zbiór fejletonów p. t. „Walka rewolucyjna w zaborze rosyjskim. Część I. Bibuła". Na 272 stronicach tej książki autor opowiedział czytelnikom, jak system represyj cenzuralnych, początkowo wobec tchórzostwa społeczeństwa skuteczny, z biegiem czasu zbankrutował całkowicie, dając w wyniku jedynie wzrastające wciąż rozpowszechnienie literatury nielegalnej, t. zw. „bibuły". Z książki tej przytaczamy kilka interesujących fragmentów, nie

dodając uwag ani objaśnień, podkreślając jedynie rozstrzeleniem druku najważniejsze ustępy:

„Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postępami, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historji swego narodu... dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce — a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nieodpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż „żyjemy w pomroczy", żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko — tajną nielegalną literaturę..." (str. 267-268)

A oto jedno ze wspomnień osobistych autora, jakich w książce jest bardzo wiele:

„Przypominam sobie pod tym względem zabawną rozmowę, jaką miałem w Londynie... Skądś z głębi Rosji, z odpowiedniemi rekomendacjami przybył poważny, już trochę szpakowaty mężczyzna i zwrócił się do mnie z prośbą o pośrednictwo przy zawiązaniu stosunków z P. P. S.

— Jakiż ma pan interes do P. P. S.? — zapytałem.

— Hm! Interes jest bardzo skomplikowany. Widzi pan my tam w Rosji zawiązaliśmy stowarzyszenie w celu obalenia cenzury!

— Cenzury?—zawołałem zdziwiony—Ależ, panie, czy nie praktyczniej byłoby zacząć od obalenia cara, który tę cenzurę ustanawia". (str. 8-9) *(r.)*

EUROPEJSKOŚĆ A RODZIMOŚĆ

Z OGROMNEJ ilości uwag, rozpraw, korespondencyj, krytyk, polemik wynika, że dojrzały u nas dwa przeświadczenia bardzo zasadnicze. *Primo*: Polska wyrosła na pniu kultury zachodnio - europejskiej, ale pozostała w tyle, stąd konieczność intensywnego odrabiania zaległości. *Secundo*: pierwiastki rodzime naszej kultury nie są jeszcze dostatecznie ugruntowane, stąd konieczność obrony ich przed obcemi domieszkami. Czy dwie te konsenkwencje wyłączają się wzajem czy dopełniają, krócej: europejskość albo rodzimość, czy też i europejskość i rodzimość?

Wyłączywszy pewne skrajne grupy, oczywiście wolimy wszyscy drugą alternatywę. Dyktuje ją zresztą samo życie. Sprowadzamy z zągranicy teorje naukowe, programy artystyczne, maszyny, środki patentowane, mody, broń — u siebie mamy tradycje literackie, formy narodowo-gospodarcze, patrjotyzm, ludowość, sentyment.

Taki stan rzeczy pozornie nas zadowala, bo na dłuższą metę budzi pewne wątpliwości, wynikające głównie z tego, że każda cywilizacja idzie *crescendo*, a każda ideologja wymaga punktów oparcia w skuteczności. Otóż — biorąc parę konkretnych przykładów: czy mamy dążyć do uprzemysłowienia Polski za przykładem np. Belgji, czy nie. Czy mamy propagować sporty do miary angielskiej, czy nie. Z drugiej strony, czy możemy być mesjanistami w polityce, albo w ludowym stylu urządzać salony?

Jest to zagadnienie doprawdy trudne. Zważmy bowiem, że gwałtowna asymilacja technicznej kultury przez stare państwa Wschodu niekoniecznie była tylko dobroczynna. W Japonji coraz mniej duszy starego Nipponu — życie społeczne, charaktery i style psują się... Turcja oburącz chwyciła się bezwyznaniowości, meloników, feminizmu, militaryzmu — czy długo będzie sobą? A Chiny — ów nieszczęsny kolos, podminowany przez niejeden triumf europejskości?

Z drugiej strony rodzimość nasza, naogół biorąc, mało zróżnicowana. Jest ług macierzysty, z którego piękne kryształy powstać mogą, ale trzeba niejednego warunku. Rzecz to zrozumiała. To, cośmy wypracowali — w przeszłości — okazało się i skuteczne i żywotne w walce o egzystencję z zaborcami. Trzeba było za wszelką cenę wzmacniać odporność, swojskość. Obok czci dla desperackiej odwagi powstańców miał rację bytu sentyment dla fuzyjki i konika. Rodzimość nasza posiadała cechy ryngrafu i miecza. Ale dziś rzecz inaczej się przedstawia: Idea powinna nietylko bronić, ale i uczyć, zdobywać, nietylko eksplodować, lecz i organizować. Dotychczas próby nalewania „młodego wina w stare miechy" nie dały oczekiwanych wyników. Idee chodzą bowiem jak obłoki nad ziemią, nie są z nią w realnym sprzęgu. Mesjanizm — imponujący teoretycznie — ignoruje organiczny charakter społecznej strony uduchowienia. Jako filozofja i etyka, lekceważy on psychologję żywej jednostki. Jest abstrakcją.

Weźmy hasło ludowości w plastyce i poezji. Zwrócono się po motywy do chałup. Ale chłop pozostał chłopem, zaś artysta przefasonowywał siermięgi na fraczki XVIII wieku, Darzboga na arlekina, Janosika na Apollina, a znów poeta przytupnął i rozwichrzył się do reszty w bezładzie i bezstylu.

Jednej architekturze poszczęściło się z rodzimością; mamy godne uwagi budowle. Gdy jednak przyszło do wnętrza — zabrakło wątku.

Hasło czerpania z ziemi w najszerszem znaczeniu słowa rokuje bardzo wiele, jednak i tu do krystalizacji są, zdaje się, potrzebne odczynniki europejskie. Bez nich zresztą nie istnieliby zapewnie i nasi romantycy w pełni, ani Chopin. Poprostu genjusz ich potrzebował obok odruchów rodzimości, bodźców organizacyjnych. Tymczasem ideologja rodzimości w swych dążeniach konstrukcyjnych zbyt rzadko może powoływać się na fakty zorganizowane, dokonane, zbyt często natychmiast musi negatywnie występować, przeciwstawiając się obcym naleciałościom, oczyszczając teren dla konstrukcji. Dobre i to—atoli niech będzie wolno tu dwie uwagi zrobić.

W poszukiwaniu więc rodzimych ujęć należałoby się programowo trzymać rzeczy niewielkich, przetrawionych, mocno zarysowanych, psychologicznie jasnych i pociągających. Czy miałoby się to tyczyć teorji naukowej, czy konstrukcji przyrządu, czy techniki zdobnictwa, czy gier na plaży—brzmi nakaz: robić rzeczy żyjące!

Druga uwaga tyczy się wagi kultury klasycznej w urabianiu rodzimości. Wraz z cała Europą zachodnią wyrośliśmy z tradycji grecko-italskiej. Możemy tedy omijając modyfikacje nam obce, czerpać z pierwszej ręki, u źródła, i tam tworzyć. *Quod faustum sit!*

LESZEK KONOPACKI

PATRIA — CZY PARTJA

CZY warto polemizować z p. W. Z. z „Głosu Narodu"? Osobiście nie warto, bo nie o niego chodzi. Ale insynuacje trzeba odpierać, skoro są publicznie robione dla celów demagogicznych. Na odpowiedź naszą w zeszycie poprzednim, dlaczego wyznawanie narodu w życiu politycznem nie jest sprzeczne z religją i etyką, p. W. Z. rozpowiada znowu (nr. 16) jakieś anegdoty, a w końcu przyznaje się, że dla niego partja (Chrz. Dem.) jest dobrem najwyższem.

Pokazuje się, że pracujemy w polityce już bez kapitału szerszych pojęć o narodzie. Zdawałoby się, że pierwszym obowiązkiem stronnictwa politycznego jest ugruntować swój stosunek do idei narodowej. wcielanej w życie państwa. Tymczasem rzecznik Chrz. Dem. uważa kwestję narodu za „drobny szczegół", (tak się pisze w prasie lewicowej), nie umie nawet na ten temat myśleć. Słyszał, że niebezpiecznie jest uważać naród za dobro najwyższe, bo wtedy należy

podobno kłamać dla dobra narodu (przykład: Z. Balicki), a jeśli tak ma być z VIII przykazaniem to — „to samo rzecz jasna da się zastosować do V i każdego innego, o ile dobro wyższego rzędu będzie tego wymagało“...

Oto poziom dyskusji o narodzie w organie stronnictwa „narodowego“. Cóż bardziej niecnego i bezsensownego mógłby wymyśleć wróg idei narodowej? A pan W. Z. w dodatku się obraża, gdy mu się powie, że jest faryzeuszem. Jest coś gorszego — brak temu kwalifikacji do zajmowania się sprawami narodu, kto wątpi, czy naród jest dobrem wyższego rzędu, kto nie ma wiary w naród.

Otóż należałoby to przygwoździć na pamiątkę naszych czasów, że w niesłychanie odpowiedzialnym momencie życia Polski, sternicy opinji publicznej byli bez busoli. Dla kogóż robili dzieje, babrząc się w polityce? Poniewierali ideę narodu dla ważnych celów... partyjnych. A jakąż dają rękojmię, że dla tego swego dobra nie gwałcą przykazań?

Nie wiemy, jak sobie p. W. Z. wyobraża hierarchję duchów w Polsce, kiedy z Balickiego robi krzewiciela niemoralności; nie wiemy, czego życzy Polsce, jeżeli śmie ruch narodowy, który Polsce dał wolność, tak czytelnikom rekomendować. Ale jeśli mowa o przykazaniu VIII, to zapomiał, że brzmi ono: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu“. Kłamie, kiedy dla jakiegoś dobra wyższego nazywa się W. Z., ale to mu wolno. Nie wolno mu jednak łamać tak brzmiącego, jak wyżej, przykazania. Nie wolno mu, nie umiejącemu myśleć z sensem o rzeczach elementarnych, człowiekowi bez zasług, bez wiary w naród, wypisywać w organie politycznym Dmowskiemu atestacyj płytkości i braku konsekwencji. Jest to zgorszenie publiczne, nie tylko śmiech. Jeśli to nie występek przeciwko VIII przykazaniu, to niepoczytalność, do której doprowadza młodych ludzi bisurmanienie się polityczne, gdy im za wiele wolno.

Tłumaczy teraz, że przestrzega przed Dmowskim, bo jest narzędziem „wielkiej idei“, większej niż narodowa. Chrz. Demokracja—powiada—ma za wielkie ambicje, żeby miała stawać w Obozie Wielkiej Polski. To dobre dla Demokracji Narodowej, która się lubi wyrzekać swojej indywidualności („ma gust do samobójstwa“). Chrz. Dem. chce żyć.

Tak u nas kończą się dyskusje o dobru najwyższem w polityce. Cynicznym argumentem, że tem dobrem jest partja. Na to religja i etyka pozwalają.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nie-„moralna sanacja“. — Nowe ministerjum. — Polityka wobec „mniejszości“. — Wzrost komunizmu. — Powodzenia propagandy niemieckiej i ich przyczyny.

„...NIE jest moralną sanacją“—pisze w wydanej właśnie książce p. t. „O własnych siłach“ p. Władysław Grabski—„przenoszenie wyższych urzędników w stan nieczynny. Jest to sposób usuwania ludzi niedogodnych, ale nie sanacja...“ „Dużo“—dodaje — „widzimy tranzlokacyj na ważnych stanowiskach, co przecież nie stanowi żadnego aktu sanacji moralnej“.

To, co w myśl określenia p. Władysława Grabskiego „nie jest sanacją moralną“, dokonywa się obecnie z wzrastającą wciąż szybkością i bezwzględnością. Rubryka „wiadomości politycznych“ w prasie codziennej przepełniona jest, jak nigdy przedtem, informacjami i wzmiankami o „podpisanych już“ lub „mających wkrótce nastąpić“ t. zw. „zmianach personalnych“. Jak dalece paniczny nastrój opanowywać zaczyna społeczeństwo, świadczy najlepiej pojawienie się w dziennikach pogłoski o możliwości... mianowania redaktora „Głosu Prawdy“ p. Stpiczyńskiego wiceministrem kultury i sztuki! Minister spraw wewnętrznych, jen. Składkowki, posługuje się (jeśli tylko pogoda dopisze) aeroplanem, aby tem szybciej „dokonywać inspekcyj służbowych“ i „nieodpowiednich starostów i urzędników“ zastępować innymi.

Nawet w Radzie ministrów każdy tydzień niemal przynosi nowe jakieś „tranzlokacje“ i zmiany. W ostatnim tygodniu wskrzeszono zniesione pod hasłem oszczędności ministerjum poczt i telegrafów, chociaż praktyka czteroletnia bynajmniej na potrzebę ponownego utworzenia tego ministerjum nie wskazywała. Ministrem został jeden z najbliższych współpracowników marsz. Piłsudskiego, b. szef Oddziału II Sztabu (wywiad), pułkownik i poseł z klubu „Wyzwolenia“ p. Bogusław Miedziński. Żywa sympatja, z jaką nominacja ta spotkała się w kołach liberalno-lewicowych, ma, być może, źródło także w nadziei, że ten wybitny specjalista łatwiej, niż ktokolwiek, mógłby wyśledzić ewentualne nadużycia, dotyczące nieprzestrzegania tajemnicy listowej, o których możliwości nieraz wspominano w czasie dyskusyj na temat stacji podsłuchowej w telefonach.

O ile wszakże wszystkie te zmiany, „przesunięcia“, „reorganizacje“ są faktami bądź co bądź drugorzędnego znaczenia, to prawdziwą troską i niepokojem przejąć musi uporczywie powtarzająca się pogłoska o zamiarze utworzenia osobnego ministerjum czy podsekretarjatu stanu „dla spraw mniejszości narodowych“. Zrozumiała jest radość, z jaką o projektach tych rozpisują się pisma żydowskie. Dla Żydów zawsze najdogodniejsze będzie abstrakcyjne pojęcie „mniejszości“, pod które, jakby w równaniu algebraicznem, podstawiać można dowolne wartości rzeczywiste: Żydów, Niemców, Białorusinów, a wzór na rozwiązanie równania pozostanie zawsze ten sam, wyprowadzony z liberalnych, „ogólnoludzkich“ założeń. Rzeczywistość jednakże przedstawia się wręcz odwrotnie: zamiast oderwanej, teoretycznej kwestji „mniejszości“, stoją przed Polską zagadnienia konkretne: żydowskie, niemieckie, ruskie, a każde z nich wymaga zgoła odmiennych metod, działania zgoła innemi środkami, nawet cele, do których dążyć należy, w poszczególnych wypadkach są różne. Jakże wytłumaczyć chęć łączenia tych odrębnych, tak zupełnie nie podobnych do siebie grup ludności, aby jako „mniejszość“— przeciwstawić je wspólnie „większości“ t. j. Polakom? Jakże zresztą wyodrębnić z całokształtu administracji państwowej sprawy, dotyczące „mniejszości“, nie stwarzając jednocześnie najszkodliwszego zamętu i anarchji?

Wogóle prowadzenie polityki w sprawach narodowościowych wymaga rozwiniętego poczucia rzeczywistości, w przeciwnym razie kończy się zawodem w rachubach i sprowadza na Państwo groźne niebezpieczeństwa. Dowodem tej prawdy są aresztowania przywódców białoruskiej „Hromady“, w której chciano widzieć zaczątki ruchu narodowego Białorusinów, a która w rzeczywistości okazała się pracującą na rzecz Moskwy organizacją komunistyczną. Ale sprawa „Hromady“ winna także skłonić do zwrócenia baczniejszej uwagi na postępy komunizmu i to nietylko na kresach: wybory do rady miejskiej w Pruszkowie, podczas których lista komunistyczna uzyskała największą liczbę mandatów, są po niedawnych wyborach warszawskich do Kasy Chorych nowem ostrzeżeniem, które nie powinno być zlekceważone. Klub sej-

mowy Związku Ludowo-Narodowego zgłosił do laski marszałkowskiej wniosek, wzywający rząd, aby w ciągu dni czternastu opracawał projekt ustawy przeciw komunistom i przedstawił go sejmowi. Ale nie wyłącznie sejm i rząd, lecz przedewszystkiem społeczeństwo ma obowiązek wyciągania właściwych wniosków z sytuacji, aby wobec organizowania się sił wroga, nie było bezbronne.

Układ stosunków na terenie międzynarodowym również nie daje, z polskiego punktu widzenia, powodów do optymizmu. „W chwili obecnej Polska czuje się nieco odosobniona“—temi słowy określa położenie artykuł wstępny *„Times“* 'ów z dn. 17 z. m. Niesłychane oświadczenie delegata Francji do Ligi Narodów, p. Henri de Jouvenel'a który w wywiadzie, udzielonym redakcji berlińskiego *„Lokal-Anueiger“*'a, wyraził się: „Nie twierdzę, że obecne granice wschodnie Niemiec muszą pozostać bez najmniejszej zmiany“ jest oczywiście nietaktem, skandalicznym *„faux pas“*, nie zaś wyrazem poglądów rządu i społeczeństwa francuskiego na sprawę nietykalności naszych granic. Ale fakt, że nietakt ten nie został w należyty sposób naprawiony, jak również cała wogóle polityka p. Brianda w stosunku do Niemiec, łatwo prowadzą do wniosku, że francuskie ministerjum spraw zagranicznych mogłoby jednak więcej liczyć się z wartością Polski, jako sprzymierzeńca i jej najbardziej żywotnemi interesami. Trzeba stwierdzić, że pozycja międzynarodowa Polski została w ostatniem półroczu w widoczny sposób osłabiona, zaś propaganda niemiecka osiągnęła jednocześnie bardzo znaczne sukcesy, skoro może pochlubić się takiem powodzeniem, jak wywiad p. de Jouvenel'a.

Aby wszakże zrozumieć triumfy propagandy niemieckiej, należy przyznać otwarcie, iż są u nas ludzie, którzy postępowaniem swem niejednokrotnie dają pozory do mniemania, że dyskusja w sprawie „pokojowej zmiany granic Polski“ nie byłaby jednak niemożliwością. Dość przypomnieć choćby udział pewnych polityków polskich w wybitnie antypolskiej akcji na rzecz „Paneuropy“. Dość przypomnieć artykuł posła Hermana Diamanda w berlińskim *„Vorwärts“*'ie, w którym żali się, że „dotychczas nie spotkaliśmy się z propozycją, umożliwiającą nienaganne rozwiązanie“ sprawy t.zw. kurytarza pomorskiego, jakgdyby dla Polaka sprawa ta nie była już raz na zawsze, nieodwołalnie rozwiązana!

Ostatnio znów przybył do Łodzi prezydent parlamentu niemieckiego, dr. Loebe, aby tam wobec licznie zebranej publiczności oświadczyć w przemówieniu, że „granice państwowe nie są nigdy wieczne“, że „Pomorze jest potrzebne Niemcom ze względów gospodarczych“ i że... „sprawa ta musi być załatwiona w drodze pokojowego porozumienia“. Nie przeszkodziło to wcale, aby prezydent Reichstagu był uroczyście podejmowany i goszczony przez socjalistów i nie tylko socjalistów polskich w Łodzi i w Warszawie. Poprobujmy puścić na chwilę cugle fantazji i wyobrazić sobie, iż np. marszałek Rataj udał się do któregoś z miast niemieckich i tam wygłosił mowę na temat, że „granice państw nie są wieczne“, że „dla Polski koniecznością jest posiadanie Prus Wschodnich i Królewca“, i że ma nadzieję, iż sprawa ta „da się załatwić w drodze pokojowej“. Czy znalazłoby się w parlamencie niemieckim stronnictwo, które nazajutrz wyprawiłoby na cześć p. Rataja śniadanie, czy dziennik, zbliżony do osoby kanclerza, napisałby o nim pełen sympatji artykuł i czy p. Loebe tak skwapliwie zapragnąłby wspólnie z nim fotografować się w gabinecie przewodniczącego Reichstagu? J. R.

NAUKA I LITERATURA

POWSTANIE LISTOPADOWE

Dzieło J. Harbuta — powieść St. Szpotańskiego

W OPRACOWANIU dziejów rewolucji Listopadowej spotkali się dwaj autorowie — historyk i powieściopisarz, którzy tak znakomicie dopełnili się wzajemnie, że czytelnik ich książek otrzymuje dokładny obraz wypadku.

Po stłumieniu powstania car Mikołaj, mszcząc się nie tylko za bunt i obrazę z detronizacji, ale i za trwogę, jaką uczuwał podczas przebiegu wojny, która mogła była zakończyć się jego porażką a skończyła się zwycięstwem, otworzył szeroki upust swemu przyrodzonemu okrucieństwu. Rozkazał ks. Paskiewiczowi ustanowić sąd dla ukarania schwytanych i nieschwytanych przywódców i uczestników powstania, złożony z 8 generałów rosyjskich i tyluż „prawomyślnych polaków“, zruszczonych lub spodlonych w jego służbie, pod prezydencją gen. Witta. Śród tych wynaturzeńców znajdowały się osobistości wybitne — Józef Faleński, prawnik, tłumacz rozpraw niemieckich, autor „Historji Polski“, ojciec poety znanego pod imieniem Felicyana i Józef Kalasanty Szaniawski, filozof, znieprawniony przez Nowosilcowa i znieprawniający innych (między nimi M. Mochnackiego). Próbowano wciągnąć do udziału w tym sądzie kilku hrabiów polskich; lecz Aleksander i Franciszek Potoccy, chociaż rzetelni „wierno - poddani“, wymówili się od tego zaszczytu chorobą, a Wincenty Krasiński, ojciec Zygmunta, potępiony w opinji jako członek sądu sejmowego odosobnionem głosowaniem, skazującem oskarżonych o związek z dekabrystami, usprawiedliwił się prośbą, ażeby mu nie kazano do dawnej niesławy dołączać nowej. Prokuratorem, nie tylko kierownikiem długiego śledztwa, ale faktycznym autorem srogiego wyroku mianowany został Poklękowski, karjerowicz wspinający się po szczeblach podłego służalstwa, nieczuły na sprawiane swym ofiarom męczeństwa a wrażliwy na przyznawane mu za nie nagrody. Postawił on przed sądem dwustu kilkudziesięciu (częściowo nieobecnych) winowajców, między nimi 140 uczniów Szkoły Podchorążych, a na czele tej gromady pierwszego herolda rewolucji i przywódcę napadu na Belweder podczas nocy Listopadowej — Piotra Wysockiego.

Dr. J. Harbut w swem obszernem dziele „Noc Listopadowa“ (Książnica, Warszawa 1926) zajmuje się głównie tym czcigodnym, a niedocenionym bohaterem, zasłoniętym cieniami, z których wydobywa się całkowicie po raz pierwszy, wyprowadzony przez p. H. z nieznanych materjałów archiwalnych, dotyczących tego olbrzymiego procesu. Wysocki był człowiekiem dziwnie nieszczęśliwym: nie udało mu się schwytać w Belwederze ks. Konstantego, nie udało mu się ujść z bitwy na Woli, uie udało mu się wydobyć z więzienia, nie udało mu się znaleźć obrońcy przed sądem, nie udało mu się uciec z Syberji a nadewszystko nie udało mu się uzyskać czci u potomnych, na którą ze wszystkich uczestników powstania najwięcej bodaj zasłużył. Podczas gdy mniej godnych wyprowadzano na pierwszy plan sceny dramatu dziejowego, jego pozostawiono na uboczu,traktując go jako postać podrzędną, jako tego, który rzucił iskrę w prochy rewolucji ale nie wywarł żadnego wpływu na jej przebieg. Wywieziony na Syberję próbował uciec, za co ukarano go 1000 pałek. W r. 1857 otrzymał pozwolenie powrotu do kraju pod warunkiem niewydalenia się z miejsca pobytu. Osiadł w Warce, gdzie mu przyjaciele kupili 40 morgową kolonję. Wyjeżdżając z Syberji, rozdał

wszystko pozostałym rodakom, w kraju również wszystkie zbywające od najkonieczniejszych potrzeb dochody rozdał biednym. Pomimo silnej budowy musiał leczyć się z niezagojonych ran po skatowaniu syberyjskiem, do końca życia, które zamarło w r. 1875. Miłosierny dobry, smutny i milczący stał jak żywy nagrobek pogrzebanych nadziei osobistych i narodowych, prawie zapomniany przez społeczeństwo, czczony tylko w małem kole bliższego otoczenia. Wskrzeszenie i nowe oświetlenie tej pięknej postaci jest wielką zasługą dr. Harbuta i cennym nabytkiem dla historji powstania Listopadowego.

Chociaż w jego dziele przesuwają się ubocznie inni uczestnicy tego dramatu, ukazał ich zbiorowo, właśnie z najmniejszą uwagą na Wysockiego, S. Szpotański w czterotomowej powieści „Bez słońca" (Biblj. dzieł wyb.). Rewolucja Listopadowa nie ma naczelnego, przewyższającego innych bohatera, posiada tylko gromadę ludzi badź małych, bądź zatracających w tem fatalnem zawichrzeniu swą gdzieindziej i kiedyindziej okazaną wielkość. To też postacią, około której wiąże w ciąg wątek powieści, jest nieznany historji oficer Znamierowski. Nie on jednak nadaje barwę obrazowi, ale wiernie i wyraziście przedstawiony pstrokaty komplet owych figur różnej miary, a ogółem niedorosłych do swego stanowiska i zadania. Dzielny wojak w armji Napoleońskiej, chwiejny i nieporadny w polskiej, brutalny, wybuchliwy, daremnie usiłujący pogodzić patrjotyzm z lojalizmem względem cara, przyjmujący i składający godność naczelnego wodza, grający przy tym wodzu, niedołężnym Radziwile pod Grochowem rolę stratagicznego suflera Chłopicki; pomysłowy, ambitny a niezdecydowany Prądzyński; blagier, wygodniś i egoista Skrzynecki, intrygant Krukowiecki, plączący się w sidłach polityki czynnej Lelewel i inni zarysowani wiernie. Nadewszystko zaś z jałowych narad, zmienianych planów, ustawicznych zmian osobowych i taktycznych, ze słabych lub kurczących się w zamęcie charakterów, wyłania się bolesna prawda faktu, że w powstaniu listopadowem nie było ani jednego istotnie wielkiego człowieka, zdolnego osiągnąć zupełnie możliwy do osiągnięcia cel wybuchu, poprowadzić naród do zwycięstwa w obronie swej wolności. Wszyscy, jeśli nie zdradzali lub nie cofali się tchórzliwie przed ryzykiem i niebezpieczeństwem, marnowali czas, marnowali siły i środki narodu, bez świadomości i złej woli przygotowywali mu sroższą niewolę i ułatwiali wrogowi triumf. Powstanie Listopadowe rozgrywało się rzeczywiście „bez słońca", tylko przy szybko gasnących pochodniach i nikłych, kopcących i swędzących kagankach.

Taka jest historyczna strona powieści Szpotańskiego.

Co do artystycznej autor z wielkim talentem wprawia w ruch gromadę postaci, z których żadna nie jest ostoją wypadków, wszystkie tworzą szereg żywych scen. Z tą samą umiejętnością kreśli obrazy pochodów i bitew wojskowych. Ponieważ zaś w charakteryzowaniu historycznych osób zachowuje ich zasadnicze rysy, jego powieść staje się ciekawą, pouczającą i artystyczną lekcją o najważniejszym ułamku porozbiorowych dziejów naszych. A. Ś.

GEORGES OUDARD

POKOLENIE współczesnych pisarzy francuskich dzieli się bezwzględnie na dwie kategorje: na tych, którzy byli na wojnie i na tych, którzy w niej nie brali udziału. Jest to oczywiście klasyfikacja bardzo ogólnikowa, ale niemniej dla twórczości pod wielu względami charakterystyczna, gdyż wypadki lat 1914—1918 wybiły na umysłowości tej generacji niezatarte piętno. Iluż bowiem pisarzy, dzisiaj znanych, rozpoczęło podobnie jak Roland Dorgelès karjerę literacką od opowieści szeregowca-żołnierza.

Georges Oudard do tej właśnie należy grupy.

Twórczość tego młodego pisarza jest również bardzo znamienna i z tego względu, że rzuca ona ogromnie ciekawe światło na specjalne środowisko, jakiem jest środowisko burżuazji francuskiej, z której autor pochodzi, a której myśli i uczucia tak wielkim uległy przeobrażeniom wskutek światowego przewrotu.

I tutaj zaraz na wstępie zaznaczyć należy, że Georges Oudard, w przeciwstawieniu do innych, pozostał wierny zarówno tradycjom rodzinnym jak narodowym.

„*Ma Jeunesse*", pierwsza książka Oudard'a, odmalowuje w sposób żywy trzy fazy, wzięte pomiekąd z życia samego autora. Młody Gollange, nie mający żadnego specjalnego fachu, albowiem z ojcem, będącym fabrykantem portmonetek, pracować nie chciał, zajmował się po ukończeniu nauk — trochę z nudów, dla zabicia czasu — historycznemi studjami nad Marją de Médicis. Dążył jednak właściwie przedewszystkiem do wyzwolenia się z pętów własnego kupieckiego środowiska. Gollange nie zapiera się ani ojca, ani matki, ale pragnie zerwać z ich przeszłością, ich małomieszczańskiemi tradycjami.

Akt mobilizacji wyrywa go z tej egzystencji bezczynnej. Sierżant Gollange, przeniesiony od pierwszych tygodni wojny w inne warunki, pomiędzy innych ludzi, zaczyna też innemi oczami patrzeć na świat. I powoli, pod wpływem wspólnie przeżywanych cierpień, w obliczu niebezpieczeństwa, w oczekiwaniu lepszego jutra, budzi się w młodym Paryżaninie poczucie głębokiej solidarności w stosunku do swych współtowarzyszy, należących do najrozmaitszych klas społecznych. Ta druga część życia czyni z niego prawdziwego człowieka, który pod Verdun mocował się ze śmiercią: poznał sam siebie odkrył ludzi i zapoznał się z ich chcrakterami w chwilach, w których człowieka nawet na kłamstwo już nie stać.

Wreszcie trzecia, może najciekawsza faza bohatera „*Ma Jeunesse*", odnosi się do powrotu do życia normalnego. I tutaj właśnie Oudard z dużem poczuciem psychologji odmalowuje tragiczne zmaganie się ludzi wykolejonych wojną, t.j. tych, którzy byli bohaterami na polu walki, a niczem — zerem niemal — w życiu cywilnem. Gollange jednakowoż początkowo jest pełen entuzjazmu: żeni się i pragnie za wszelką cenę utrzymać stosunki ze swymi dawnymi towarzyszami. Wysiłki to jednakże daremne. Powrót do życia normalnego stanowi równocześnie powrót do różnic społecznych. W wykwintnym salonie państwa Gollange przesuwają się najrozmaitsze osobistości, zarysowuje się silnie odmienność przekonań, wychowania, pochodzenia. To zestawienie ludzi tak blizkich sobie w obliczu śmierci, a tak dalekich w życiu normalnem, jest przeprowadzone w książce Oudarda z wielką umiejętnością i świadczy o prawdziwym darze obserwacji, cechującym autora. Młody Gollange sam przyznaje się, że jest „*un raté*", gdyż zdaje sobie dobrze sprawę, że przedwojenne społeczeństwo mogło tolerować dystyngowanego amatora, — badacza Marji de Médicis—ale powojenne domaga się czegoś więcej, bardziej skonkretyzowanego stanowiska społecznego. A fachem Gollange'a był fach wojskowy. Trudności zaś natury materjalnej w brutalniejszy jeszcze sposób dały mu odczuć rzeczywistość: w obliczu ich człowiek albo działa, albo ginie.

I tutaj w książce Oudard'a uwidocznia się wielka siła żywotna Francuzów, których przeciwności nie przy-

tłaczają, nie ubezwładniają, ale wprost przeciwnie, dodają jeszcze bodźca, pobudzają do walki i czynu. Gdyby Gollange był Rosjaninem, napewno w ciężkiej moralnie i materjalnie chwili życia poddałby się wpływowi swych dawnych przyjaciół—socjalistów, wyznających zasadę „najmniejszego wysiłku", lub też rozkoszował się lirycznie własnem cierpieniem. Ale Gollange-Francuz w trudnym właśnie momencie zawyrokuje: *„L'existence est belle, ça j'en suis certain. Je veux vivre, je veux vivre"!* Ten okrzyk jest silniejszym od wszelkich innych okrzykiem zwycięstwa.

Wtedy to młody bohater pozostawi innych rewolucyjnym rozmyślaniom; wyzbędzie się mrzonek, a powróci do tradycji i zrzuciwszy pychę z serca będzie jako zwyczajny urzędnik pracował u następcy swego ojca.

I w drugiej powieści Oudard'a *„L'Homme Marié"*, powieści bardzo ciekawej, wziętej również żywcem ze środowiska burżuazji, występują te same cechy talentu autora, ale w formie bardziej wyrafinowanej, wycieniowanej. *„L'Homme Marié"* — to Don Juan żonaty, ale Don Juan-burżuj, malkonent bez charakteru, który chciałby dla snobizmu, dla fanfaronady przystosować swe życie do nowych koncepcyj szerokiej, amoralnej egzystencji. Nie może jednak zdecydować się na porzucenie żony, domu, wygód. To też te silne przeżycia będzie jedynie przechodził w zaciszu swego gabinetu, bo pomysłów awanturniczych w czyn nie wprowadzi. Wzamian jednak, Pierre Arquenoy w wygodnym fotelu puści wodze fantazji i z zamiłowaniem oddawać się będzie potwornej analizie uczuć i myśli i monstrualnym wprost rozmyślaniom na temat życia własnego i swych bliźnich. Ale ten nowy typ gabinetowego Don-Juana w końcu nietylko abdykuje, lecz zapragnie nawet... być ojcem.

Obok bohatera tej powieści, Pierre Arquenoy, opisał Oudard z ogromną finezją charaktery kobiece i wogóle ukazał cały szereg sylwetek ze świata burżuazyjnego, ich ciasne ramy myślenia, małostkowy charakter. W ten sposób cały ten świat przesuwa się przed naszemi oczami, pozostawiając raczej melancholijne wrażenie jakiejś niedogranej nuty, jaką jest życie ludzi zmarnowanych, którzy sami właściwie nie wiedzą, czego chcą.

Oudard posiada nadzwyczaj rozwinięty zmysł obserwacyjny, wskutek czego skala wrażeń jest u niego bardzo różnorodna. *„La meilleure maitresse"* jest właściwie rodzajem studjum psychologicznego o wartości złudzeń, napisanem z dużą werwą. Iluzje należycie kultywowane pozwolą bowiem człowiekowi upośledzonemu fizycznie na budowanie zamków na lodzie, na posiadanie bogactwa, ukochanej kobiety—*la meilleure maitresse*... Zresztą jak słusznie powiedział jeden z bardzo ciekawych autorów francuskich, Savignon: *„Et quoi saurait compter hormis nos rêves?"*

W książce tej Oudard rozwinął bardziej jeszcze swój talent pochwytywania słabości ludzkich. Należy on zresztą do rzędu tych autorów, którzy nie tyle starają się opisywać charaktery, sytuacje, ile raczej bohaterzy jego przez akcję określają sami siebie gestami, czynami lub też ich brakiem.

Utwór, jaki Georges Oudard przygotowuje obecnie, może zadecydować o nowej linji jego twórczości. Utworem tym będzie *„Law"*. Głośny ten smutnej pamięci bankier dokonał w XVIII-ym w. inflancji we Francji, wskutek czego krajowi zalanemu banknotami zagroziła ruina. Sam Law uciekł do Włoch, unosząc z sobą z całego bogactwa jedynie dwa pierścienie. W Wenecji, w małym kościołku koło Piazza San Marco, pod skromnemi taflami białego i czarnego marmuru spoczywają zwłoki Law'a. Zwiedzając kościół ten, Oudard zatrzymał się przy opuszczonym grobie, kontrastującym z życiem pełnem awanturniczych przygód i złudnego bogactwa. To też, kiedy Henri Massis, który kieruje u Plon'a działem ciekawej kolekcji, *Le roman des Grandes Existences* w której wyszła między innemi doskonała *„La prodigieuse vie d'Honoré de Balzac"* pióra René Benjamin, a ostatnio *„François Villon"*, którego autorem jest Francis Carco, zapytał młodego pisarza, czy nie napisałby jakiejś książki do tego zbioru żywotów, Oudard, pod wpływem weneckich wrażeń, odpowiedział: — Law!

Oudard ma niewątpliwie wybitny talent powieściopisarski, rozwijający się po linji psycho-analizy. W stylu jego brak jeszcze pewnej jędrności i oryginalności, ale posiada on dużą dyscyplinę myślenia, a powieści jego solidną konstrukcję. Przytem autor *„Ma Jeunesse"*, w przeciwieństwie do tak licznych zastępów młodych pisarzy, goniących za sztuczną często oryginalnością, silących się na wybicie się za wszelką cenę, bez przebierania w środkach, pozostał przedewszystkiem sobą, a wskutek tego nieco na uboczu literackiego futuryzmu, kubizmu czy też surrealizmu. Georges Oudard zadowala się się bowiem zwykłym realizmem, będąc słusznie zdania, że wszelkie n a d—wartości prowadzą często na manowce... nawet w dziedzinie literatury.

IRENA BRIARES

Z NOWYCH POEZYJ

Pomimo pozornego stwardnienia serc i ociężałości w atmosferze pojawia się na widowni literackiej sporo k s i ą ż e k z p o e z j a m i. Wspominaliśmy wtem miejscu w nr-ach 1 i 2 obszerniej o zbiorach Beaty Obertyńskiej (drukarnia uparcie składa to imię jako „Berta") i Miłosza Gembarzewskiego. Najwydatniejszem zjawiskiem jest bogaty wybór utworów Zegadłowicza pt. „Dom jałowcowy" (u F. Hoesicka), o którym obszerniej trzeba się wypowiedzieć. Po za tem wyszedł „Płaczący ptak" Iłłakowiczówny, „Bunt Lawin" Kazimiery Alberti'owej, „Oburącz" Juljana Przybosia; „Laur Olimpijski" Kaz. Wierzyńskiego. Zapowiedziano zaś, że są już w druku na ukończeniu zbiorki M. H. Szpyrkówny i Marji z Kossaków Pawlikowskiej (Hoesick).

Z pomienionych powyżej zbiorków dwa: W i e r z y ń s k i e g o i P r z y b o s i a mają z sobą wiele wspólnego w intencji artystycznej. Różnice są w formie. Wierzyński wiedzie się z romantyków, Przyboś — z jakiegoś futuryzmu. Pierwszy śpiewa jak włoski tenor Fausta odmłodzonego, drugi — robi basowego Mefista prosto z piekła fabryki. Obaj są jednak z atletyki: jeden z lekkiej, drugi z ciężkiej. Wierzyński i Przyboś śpiewują na cześć muskułów i ukrytego w nich natchnienia. Pierwszy widzi te muskuły w świecie sportu Olimpijskiego lekko-atletycznego, — drugi w świecie pracy przy maszynach. Zeszli się tak, idąc naprzeciwko siebie. Wierzyński, jakby schodził z góry, a Przyboś — jakby wchodził. Wierzyński był już skowronkiem w kulcie tęsknot duchowych. Pozostał mu jeszcze tryl i nim opiewa teraz sportowy dryl bicepsów. Przyboś przed dwoma laty nie znał jeszcze człowieka. W poezji naśladował hurkot i trzask maszyny. Straszył. Zdawało mu się tam nad Skamandrem podwawelskim, że wydobędzie poezję z chodników, dachów i maszyn taką, jak poprzednicy dobywali z przyrody. Przekonał się, że to nie pójdzie; a że ma telent i ambicję artystyczną, doszedł, że jednak człowiek jest sprawcą i miarą poezji i że jego trzeba uczynić w poezji momentem centralnym. Doszedł, że ciekawsza jest ręka, która maszynę obsługuje i namacał w niej puls, który jest tętnem życia. Jego „Oburącz", to wielki postęp, znalazł się tam, gdzie Kasprowicz zaczynał od naturalizmu. Pewno pójdzie teraz za człowiekiem drogą w górę, bo takie jest prawo ducha, szukającego trudnych rozwiązań zagadki życia. Mechanikę pozostawi inżynierom. Dokąd dalej pójdzie Wierzyński trudno powiedzieć. Nad Skamandrem warszawskim duch poetycki za wskazówką czasu wchodzi w znak programów minimalistycznych. Obniża lot, pomniejsza ideały. Powstrzymuje stolicę, aby nie wyrastała z roli małej Warszawki. Więc schodzi na dół, kędy droga do—kabaretu.

* * *

Zbiorek poezyj Kazimiery A l b e r t i „Bunt lawin" — to bardzo wdzięczny pokaz taternictwa kobiecego w poezji: Niebo na przedwiośniu, Wiosna w Zakopanem, Po deszczu, Giewont, Halny Wiatr, Z Świnicy, Noc przy Morskiem, Burza na Koszystej. Kilka listów, pewno do męża, jeden niewysłany, jeden błękitny...

„Patrzę na mżące lampy, na trotuar śliski
nagle mi się zdaje, jak gdyby ktoś blizki
Przejmująco i długo w pustce na mnie wołał".

Nie wszyscy chodzą po górach lub bawią się w Zakopanem, a tęsknota dosięga i tutaj.

„Za oknem dźwięczą krople—deszczu płynna gama
O szyby tłucze gruby, srebrny groch
Wszyscy gdzieś poszli — w mroku siedzę sama...”

W jednym z listów poetka marzy: „Chciałabym z Tobą w wirchy — na przełęcza iść, ręce w Popradzkim skąpać stawie“. Bywa, że się ziszcza to marzenie. Bywa, że na Koszystej zaskoczy burza, a wtedy

„Na skrzyżowaniu niebnych dróg
Zda się — sam Bóg
Zapała lonty,
Z armat wali.”

To znowu poetka notuje, jakie ta wiosna (gdy z dachów kapie w południe, a „kałuże wody lśnią w słońcu jak lustra“) „ma ciepłe i wilgotne usta“.

„O zmierzchu wiatr nacicha,
Narożna kawiarnia wabi mnie zalotnie.
Rzędem szyb oświetlonych namawia i czyha.
Muzyka gra. O szóstej ludzie płyną rzeką.”

Jakby się było w Zakopanem! „Wszystko jest nagłe i ważne“. „Dzieją się rzeczy, jak w ciekawej książce“.

Ma to wszystko wdzięk, bo pisane jest bez pozy.

I rzetelnie oddane, jakby się poznawało świat z odbicia w wodzie. Nie jest to woda wielka, ale cicha i czysta. Trochę nieba, trochę chmur, czasem wirch śnieżny zajrzy, często widać tylko tęskne oczy, a zawsze dużo starania o urodę formy, w jakiej to ma być pokazane.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W tych dniach ukazała się książka prof. Romana Rybarskiego p. t. „Naród, jednosta i klasa“. O dziele tem, będącem w dziejach polskiej myśli politycznej doniosłem zdarzeniem, zamieścimy wkrótce obszerne sprawozdanie. Obecnie, dla zorjentowania w bogactwie treści, jakie w niem jest zawarte, podajemy tytuły rozdziałów: 1. Kryzys idei XVIII wieku, 2. Wiara w naukę, 3. Prawa jednostki, 4. Ideał ogólnoludzki a „solidaryzm“, 5. Idea walki klas, 6. Siła poczucia narodowego w XIX i XX wieku, 7. Czem jest naród?, 8. Wartości narodowe, 9. Walka narodów i etyka narodowa, 10. Przeszłość i przyszłość w życiu narodu, 11. Wpływy obce i asymilacja, 12. Naród a państwo, 13. Charakter polityki narodowej i charakter w polityce.

*

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazała się nowa książka b. prezesa Rady ministrów Władysława Grabskiego p. t. „O własnych siłach“. Jest to zbiór artykułów, napisanych w ciągu ostatniego roku, a drukowanych przedewszystkiem w „Kurjerze Warszawskim“ i w dwutygodniku „Drogi Naprawy“. Wszystkie one — jak określa sam autor w przedmowie—„owiane są jedną myślą i do jednego zdążają celu: do ustalenia tego, że sami własnemi siłami potrafimy i powinniśmy poradzić sobie z trudnościami naszej sytuacji ogólnej, bylebyśmy odpowiednio w tym celu postępowali“.

Nowa książka Władysława Grabskiego, z konieczności dość fragmentarycznie ujmująca poruszane w niej zagadnienia, zawiera jednak szereg niezwykle trafnych uwag; jak np. wymowną przestrogę przed taką pożyczką zagraniczną, która uzależniłaby politykę Polski od zorganizowanych czynników międzynarodowych. I choć nieraz ten lub ów pogląd autora wywoływać może zastrzeżenia, zbiór „O własnych siłach“ niewątpliwie rzuca wiele cennego światła na położenie polityczne i gospodarcze Polski współczesnej.

*

Szlachta polska, klasa rządząca kraju lądowego, otoczonego chciwymi zaborów wrogami i posiadającego wszystkie granice otwarte, żadną naturalną tamą nieubezpieczone, pomimo najsmutniejszych doświadczeń, naśladowała taktykę kraju morskiego, zabezpieczonego z zewnątrz położeniem wyspiarskiem — Anglji. Nie chciała utrzymywać armji stałej a doraźnie zebraną poddać pod zwierzchnictwo władzy wykonawczej. Wojsko pozostawało pod rozkazami niezależnego hetmana. Błąd ten dostrzegła i chciała naprawić Konstytucja 3 Maja, ale szybko zduszona pozostawiła tylko w historji pamiątkę rozumnego zamiaru. W szczególnej czci, jaką otoczono ten prawodawczy akt ratunkowy, znalazło się również uznanie dla jego uchwały wojskowej, ale niestety, czasem trudniej pozbyć się dziedzictwa faktycznie, niż go się wyrzec słownie. Chociaż więc pouczeni należycie przez okropne skutki dawnego błędu, postanowiliśmy go unikać, powtarzamy go jednak tylko w innej złagodzonej formie. Mamy armję stałą, ale jak niegdyś rozstrojoną i podartą ambicjami osobistemi, a nadto oderwaną od rządu i oddaną niezależnej władzy hetmańskiej. Przeciwko temu rozstrojowi i tej niezależności, a przytem przeciwko równoległemu istnieniu nieokiełznanych zwiazków zbrojnych zwrócił się gen. St. Haller w broszurze „Naród, a armia“ (Kraków 1926), której rozumne, szczerym patrjotyzmem natchnione i z głęboką znajomością przedmiotu nakreślone karty, każdy myślący o dobru ojczyzny obywatel przeczytać powinien. Dozna jednocześnie radości ze światłych rad i smutku z ich niespełnienia.

*

Bardzo mozolną, ale i bardzo pożyteczną pracę podjął E. Chwalewik, której pierwszy tom wyszedł p. t. „Zbiory polskie, archiwa, bibljoteki, gabinety, galerje, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie“ (Warszawa 1926). Autor zakreślił dla swej encyklopedji zbyt obszerne granice, a właściwie nie zakreślił żadnych. Włącza bowiem do niej wszelkie „zbiory“ zarówno publiczne jak prywatne. Gdyby więc miała być pełną, musiałaby objąć każdą kolekcję przedmiotów, każdą bibljoteczkę domową. Łatwo dostrzedz, że to jest ani potrzebne, ani możliwe. Skutkiem tej niemożliwości nieuniknione są braki. Tak np. dowiadujemy się, że Tow. czytelni w Ciechanowie posiada około 4000 tomów z zakresu beletrystyki i historji polskiej, ale nie dowiadujemy się, że niższa szkoła rolnicza Bratne w pow. ciechanowskim posiada bogaty księgozbiór. Ale nie należy zapominać, że wszelkie spisy inwentarza kultury, dokonywane zabiegiem jednostkowym i drogą prywatną, nie mogą być dokładne, to wszakże nie zmniejsza wielkiej wartości tego, co dają.

*

Praca Wacława Świątkowskiego „Suwalszczyzna i okolice nadniemeńskie“. (Warszawa, 1926 r. Nakładem autora.) zawiera opis ziemi suwalskiej na tle historycznych i historjozoficznych horyzontów przeszłości. Ziemia ta była pobojowiskiem walk Rusinów, Tatarów, Litwinów i Krzyżaków, a od dnia Unji Lubelskiej terenem kulturalnej pracy polskiej. Liczne dzieła tej pracy, od czasu zaboru niszczył i zacierał rząd rosyjski, a ta akakcja niszczenia trwa dalej, gdyż do Polski niepodległej wróciła zaledwie część dawnych posiadłości. Pan Świątkowski w swej naukowej wycieczce opisuje ślady dawnej polskości, historję zakładania miast i wsi, budowy dróg, kościołów i szkół, i wogóle rozwoju kulturalnego epoki Jagiellonów i Wazów.

Książkę zdobi wiele widoków. Pewne znaczenie będą mieć dla polskiego czytelnika widoki Kowna. Widok ruiny zamku, w którym często przebywał król Kazimierz Jagiellończyk, a król Zygmunt August przyjmował Jana, księcia finladzkiego, brata króla szwedzkiego, Eryka. Zaś z późniejszych, porozbiorowych czasów, widoki „Doliny Mickiewicza“ i domu w którym w Kownie mieszkał nasz poeta.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Najciekawszem zapewne zjawiskiem w ostatnim roku angielskiej produkcji literackiej był nowy zbiór nowel Rudyarda Kiplinga zatytułowany „*Debits and Credits*“ (Rozchody i Przychody), zarówno humorem tytułu jak charaktem opowiadań spokrewniony z takimi poprzednikami jak „*Traffics and Discoveries*“ (1904), „*Actions and Reactions*“ (1909), „*Diversity of Creatures*“ (1917).

Serja ta zawiera najcenniejsze może utwory w dorobku nowelistycznym wielkiego pisarza, choć w pamięci ogółu zostają te przedewszystkiem, które rozsławili krytycy dawniej, w dobie popularności haseł imperjalistycznych. Od wojny burskiej twórczość Kiplinga pogłębiała się, lecz sława jego malała. Poeta został ten sam, Anglja zmieniła się z imperjalistycznej na coraz bardziej liberalną i pacyfistyczną, to też od dobrych lat dwudziestu zapanowała wśród krytyków moda bagatelizowania i obniżania wartości sztuki Kiplinga, obrońcy ideałów tradycyjnych. Z okazji wydania ostatniego tomu znów zarzucono autorowi, że skostniał w starym sposobie myślenia, że niewolniczo imituje samego siebie, że sztuce jego brak świeżości, że płytki i t.p. Lecz Kipling poprostu został na placu z własną poezją, gdy natomiast inni dla mody, ulegli wpływom autorów rosyjskich, lub zapisali się do cechu freudystów, albo futurystów. Co zaś do zarzutu płytkości, zauważyć wystarczy, że ci, którzy nim godzą w Kiplinga, częstokroć podziwiają głębię... Benarda Shawa.

Wita nas w zbiorze ostatnim poezja znajoma, przecież niemniejsza przez to. Znowu wyraża duszę narodową autora, znowuż objawia jego miłość rzeczywistości widzialnej i dotykalnej, zespoloną ze zmysłem mistycznym (typowa pod tym względem nowela o „Madonnie Okopów“). Wyłącznie na tamtym świecie rozgrywa się akcja opowiadania „U wrót niebieskich“, z którego dowiadujemy się, że i tam rządzą zasady hierarachji, organizacji i dyscypliny — opowiadanie zresztą pełne znakomitego humoru. Szczególnie ciekawe są cztery niedyskretne nowele masońskie — wśród braci z niemałem zdziwieniem spotyka czytelnik polski militarystę Kiplinga. Loże goszczą urlopowanych żołnierzy z frontu, co więcej okazuje się, że przysięgą masońską związani są także oficerowie frontowi, w okopach krzepiący się ceremonjałem i klubowym duchem masonerji! Nieszczęśliwi, co do bractwa nie należą, czują się jak odludki. Wogóle w loży nie szkodzą sobie jakoś nastrój antygermański oraz ideologja powszechnego bra-

terstwa! Sprzeczność ta nie jest rekomendacją masonerji angielskiej, mimo wszystkich różnic, które tę ostatnią dzielą od kontynentalnej krewniaczki.

*

Wiersze w różnych czasach napisane ku pochwale morza i tego ulubionego zakątka Anglji, gdzie osiadł na stałe — zebrał Kipling w zbiorku p. t. *„Sea and Sussex“* i dopisał wiersz wstępny: bożki górzystego wybrzeża Anglji uchodzą z ojczystego ustronia przed inwazją barbarzyńskich przybyszów, szpecących wzgórza willami, zaśmiecających trawę i niszczących drzewa w czasie wycieczek i pikników.

*

Najdroższe bóstwo Wellsa (i wielu innych myślicieli i publicystów pewnej szkoły): Ewolucję, zaatakował świeżo znakomity pisarz i historyk Hilary Belloc w szeregu artykułów, drukowanej w angielskiej prasie katolickiej. Poszło mianowicie o wellsowski „Zarys historji świata“, gdzie autor zaczynając od okresu azoicznego, poprzez pterodaktyle i mamuty dotarł na stronie setnej którejś do Egei i Egiptu, a potem na dalszych czterystu poprzez Grecję i Rzym, wieki średnie i czasy nowożytne doszedł aż do dni dzisiejszych, kończąc apoteozą dzisiejszych dążeń pacyfistycznych i wizją przyszłego państwa światowego. Zniekształciły także dzieło Wellsa liczne błędy historyczne lecz talent pisarza sprawił, że w świecie anglosaskim zdobyło ono sobie olbrzymie powodzenie. Rzeczywiście warte jest ono czytania, jako ponętne pod względem literackim wyłożenie tez materjalistyczno-masońsko-lewicowych. Powodzenie dzieła skłoniło Belloca do ostrej krytyki fantazyjnej historji Wellsa. Wells, któremu atak na ewolucję wydał się absurdalny, odpowiedział broszurą *„Mr. Belloc Objects“* (P. Belloc krytykuje), wręcz pomawiając Belloca o pisanie bredni. Belloc natarł pamfletem w *„Mr. Belloc Still Objects“* (P. Belloc nadal krytykuje) i zapowiedział wydanie łączne artykułów i pamfletu. Będzie to niewątpliwie lektura nader ciekawa.

*

Jednocześnie prawie otrzymał Wells replikę z drugiej strony: w końcu ubiegłego roku jego przyjaciel osobisty G. K. Chesterton, którego cała twórczość jest antytezą ideową twórczości Wellsa, w odpowiedzi na „Zarys historji świata“ dał „Zarys zdrowego myślenia“ (*„Outline of Sanity“*).

*

Zgoła średniowieczną wiarę w czary i gusła okazał autor najświeższej „Historji Czarnoksięstwa i Demonologji“, Montague Summers (*The History of Witchcraft and Demonology*, wyd. Kegan Paul).

*

Pojawiły się w druku pamiętniki Sir Rider Haggarda p. t. *„The days of my life“*. Kilka lat temu toczyła się na łamach pism francuskich zacięta polemika o plagjat z powieści *„She“* Haggarda — plagjat ten miał popełnić popularny autor *„Atlantydy“* Pierre Benoit. Sprawy jednak nie wyjaśniono w sposób przekonywający. *„The days of my life“*. wychodzą w rok zgórą po śmierci Haggarda (um. w r. 1925). Twórca *„King Solomon's mines“* urodził się w r. 1856; ponieważ rodzina była liczna, musiał wcześnie zarabiać na siebie. Mając lat 19 rusza do Afryki połudn. przydzielony do biura nowego gubernatora Sir Henry Bulwera. W Afryce przepędza Haggard sześć lat swego życia i jest świadkiem ważnych wydarzeń w ówczesnej polityce kolonjalnej angielskiej (sprawa aneksji Traanswaalu, walka z Zulusami). Haggard niezwykle ostro krytykuje politykę angielską w Afryce na schyłku 19 w.; nazywa ją tchórzliwą i pozbawioną godności. W r. 1881 wraca Haggard do Anglji i pisze swą pierwszą powieść *„King Solomon's mines“*. Równocześnie stara się o mandat poselski — pod wpływem ataków przeciwników, którzy wypominali mu autorstwo fantastycznej powieści, rezygnuje z miejsca w parlamencie i poświęca się zagadnieniom społecznym i gospodarczym. Pisze dwie gruntowne książki o potrzebach i położeniu rolnictwa ang. (*„A farmer's year“*; *„Rurar England“,)* w następstwie czego zostaje wysłany przez komitet badań socjalnych do Ameryki i Kanady dla zbadania postępów i warunków pracy w kolonjach roboczych „Armji Zbawienia“. Haggard wyznaje otwarcie, że do literatury rzuciła go potrzeba zarobku. Mówi, że „w głębi serca żywił nieco angielskiej pogardy dla rzemiosła literackiego“.

*

Henry Green, który świeżo wydał powieść p. t. *„Blindnes“* jest — jak się zdaje—nowicjuszem w literaturze. Green daje w swym utworze dobrze ujęte i solidnie przemyślane studjum o ślepocie, której męczarnie przedstawił z wyrazistą (męczącą nawet chwilami) dramatycznością i ekspresją d'Annunzio w swem *„Notturno“*. Powieść Green'a odmalowuje tragedję młodego studenta Johna Haye, który traci wzrok w kwiecie swej młodości. John posiada naturę poetycką, pełną świeżości i naiwności — ślepota odsuwa go od otoczenia, pozwala wgłębić się w siebie. Przeciwstawieniem Johna jest Joanna, córka zapitego proboszcza, wychowana w atmosferze przeciętności i życiowej płaskości. Zetknięcie tych dwu światów jest pokazane i oddanie dobrze, inteligentnie. Krytyka angielska podkreśla wpływ powieści rosyjskiej na rzecz H. Green'a. Styl *„Blindness“* opanowany i artystyczny, trafny w skrórach i przenośniach.

*

Z ciekawszych powieści najnowszej produkcji angielskiej wymienić należy powieść p. t. *„Hilda Were“* pióra Mrs. Allen Harker. W utworze tym traktuje autorka stary problem walki dwu kobiet o serce mężczyzny. Geoffrey Ware, sławny nowelista ulega czarowi swej osobistej sekretarki, Racheli Strond. Rachel wychowana w domu w duchu nader rygorystycznym zdobywa niezależność przez zaangażowanie się na sekretarkę do Geoffrey'a. Literatowi, który jest osobnikiem próżnym, pochlebia uwielbienie młodej dziewczyny, gdyż żona jego Hilda, odnosiła się zawsze do niego i jego dzieł dość krytycznie. Hilda widząc, że traci Geoffrey'a szuka pomocy w synu, ale ten nie widzi nic zdrożnego w tem, że ojciec ma kochankę. Złamana postępowaniem męża i sądem syna, Hilda umiera, tocząc do ostatka walkę z intruzką— Rachelą. Powieść napisana umiejętnie, żywo.

NOWE KSIĄŻKI

K. Brodziński. Mowy i pisma patrjotyczne. Opracował Ignacy Chrzanowski. Bibl. Narod. № 94. Kraków (1926). Krak. Spółka wyd.

Almanach Polonais. Paris (1926). Gebethner i Wolff. Str. 850, tabl. i mapa.

Gazeta Warszawska. Kalendarz na 1927 r. Warsz. (Zgoda 5) z ilustr.

Miłosz Gembarzewski. Biały pióropusz. Poezje. Warsz. 1927. Księg. Narodowa (Bracka 1). Cena 2 zł.

Józef Stemler. Polska Macierz Szkolna. Szkic histor. 1905—1925. Wyd. jubil. Warsz. 1026. Str. 224 z ilustr.

Włodz. Perzyński. Nie było nas, był las. Powieść. Gebethner i Wolff.

Bron. Grąbczewski. Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspomnień. Str. 273. Tamże.

T. Brudzewski. Dzwon na trwogę. Powieść. Tamże.

Stanisław Haller gen. Naród a armja. Kraków 1926, Nakładem Księg. Krakowskiej, str. 80.

Ferdyn. Hoesick. Chopin, Życie i twórczość. 2 tomy, Wyd. II. Warsz. 1927. Nakładem księg. F. Hoesicka, str. 637 i 888.

Giuseppe Prezzolini. Faszyzm. Z przedmową autora. Warsz. 1926. Tamże, str. 168.

Al. Wat. Bezrobotny Lucyfer (Nowele), Warsz. 1927, Tamże.

Tadeusz Kończyc. Śladem ostatnich snów (Poezje). Warsz. 1926, F. Hoesick.

Juljan Tuwim. Słowa we krwi. (Poezje), Warsz. 1926, Tamże.

Zofja Łuniewska-Fonberg. Serce błękitnej pagody. (Poezje), Warsz. 1925, Tamże.

Stefan Zweig. Jeremjasz. Poemat dramatyczny. Przekład Melanji Wassermanówny, Warsz. 1926. Tamże.

Wacław Świątkowski. W dorzeczu Narwi. Łomżyńskie i sąsiednie powiaty. Druga wycieczka po kraju. Warsz. 1927. Nakładem autora, str. 642, ilustr. i mapa.

M. B. Lepecki. Na cmentarzyskach Indjan. Bibl. dzieł wyborowych.

Beocjusz. O pociechach filozofji ksiąg pięcioro oraz traktaty teologiczne. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. 256.

Henryk Drzewiecki. Zarys dziejów notarjatu w Polsce. Warszawa 1917. Gebethner i Wolff. Str. 87.

Władysław Grabski. O własnych siłach. Zbiór artykułów na czasie. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 119.

Roman Sanguszko, zesłaniec na Sybir 1831, w świetle pamiętnika matki oraz korespondencji. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 211. Z portretem.

Józef Jankowski. Miłość artysty. Szopen i pani Sand. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 148.

M. H. Szpyrkówna. Godzina bije! Lwów 1927. Zakład nar. im. Ossolińskich. Str. 191.

Włodzimierz Perzyński. Uśmiech losu. Komedja. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

Zofja R. Nałkowska. Choucas. Powieść internacjonalna. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

M. B. Lepecki. Na cmentarzyskach Indjan. Bibljoteka Dzieł wyborowych.

Juljan Ejsmond. Nosił wilk razy kilka. Bibljoteka Dzieł wyborowych.

NA MARGINESIE

Użyty do sanowania moralnego Europy p. Al. Lednicki, udekorowany już za odrodzenie Polski, zabrał się raźno do budowania Paneuropy wespół z p. Condenhave-Calergi. Aliści ten skompromitował całą robotę wyznaniem zamiarów swoich co do Pomorza polskiego. P. Lednicki który nie ma szczęścia, jako makler, do interesów (dość przypomnieć Tereszczenkę, Kiereńskiego, Lerchenfelda), zagaduje fatalną pozycję w liście otwartym do p. Calergi: „Byliśmy zawsze tego zdania — pisze, — że Polska bez dostępu do morza nie będzie mogła normalnie się rozwijać i t. d.". Nie przeszkadzało to p. Lednickiemu w r. 1917 stręczyć pokój z Niemcami z pozostawieniem Poznania i Pomorza Niemcom; niech też nie robi minek, że mu to choć trochę będzie przeszkadzało robić Paneuropę.

*

P. Stpiczyński pisze w „Głosie Prawdy" (d. 19 stycznia): „Jest jaśniej... zwiększył się nasz wywóz i przywóz. Wzrasta zatem stan naszego posiadania".

A tymczasem poprzedniego dnia właśnie ogłosiły gazety, że w ostatnim miesiącu wywóz zmniejszył się o 13 miljonów zł. w złocie, zaś przywóz także zmniejszył się o zgórą 17 miljonów złotych w złocie. Pocóż „Głos Prawdy" ukrywa prawdę?

*

Łódzka „Prawda", pisząc o powstaniu Obozu Wielkiej Polski, porównywa program i działalność Dmowskiego i Piłsudskiego, poczem taką oto wyprowadza konkluzję:

„Dmowski, zamiast (jak to czyni Piłsudski) budzić do życia odzyskane Państwo i dbać tylko o to, by jaknajprędzej nabrało sił, zajął się modelowaniem jednego szczegółu w obrazie. Zajął się mobilizacją narodu"...

Drobny szczegół!

*

Kiedy zacząć dyskusję o roli, jaką w Polsce dzisiejszej odgrywa masonerja, a w masonerji żydostwo, zawsze zaraz znajdzie się ktoś, komu na tem zależy, aby sprawę z dziedziny zagadnień aktualnych przesunąć do zakresu historycznych rozważań. „Masonerja w Polsce nie ma złych tradycyj" — pisze w „Epoce" (nr. 15) p. Widz-Wassercug. I jak z rękawa, na poczekaniu sypie długą litanję nazwisk: Henryk Dąbrowski, książę Józef Poniatowski, Kniaziewicz, Ignacy i Stanisław Potoccy, Niemcewicz, Brodziński... Sam Tadeusz Kościuszko — dodaje figlarnie pan Wassercug—był „przyjacielem masonów".

Półurzędowy feljetonista „Epoki" naprawdę niezrównany jest „w swoim repertuarze": „Szanowna publiczność miśli, co ja mam na sobie zwyczajny chałat? To wcale nie jest chałat, to jest krakowska sukmana! Szanowna publiczność miśli, co przed nią stoi sobie taki Wassercug z „Epoki"? Ja wcale nie jestem Wassercug, ja jestem drugi jaśnie naczelnik Kościuszko"!

*

Z powodu ankiety organu sanacyjnego „Głosu Prawdy" na temat, jakiby ustrój dać Polsce, drugi organ sanacyjny „Epoka", dotąd bardzo demokratyczny, zwolennik ludowładztwa, pisze (piórem J. Wassercuga): „Broń, Panie Boże, Polskę od ustroju, któryby najbardziej odpowiadał psychice obywatela". A potem tenże urzędowy myśliciel tłumaczy, dlaczego nie spodziewa się niczego po monarchji: „Myślę, że w monarchji głupi nie zmądrzeje. A ta prawda wystarczy, aby do monarchji nie tęsknić". Zdaje się, że publicystom obu tych pism żaden ustrój polityczny nie pomoże.

*

W „Kur. Warsz." (№ 20) zasługuje na uwagę feljeton A. Grzymały-Siedleckiego „Wizyta u dr. Siewskiego" (bohater komedji Perzyńskiego „Uśmiech losu"). Rozprawia się tam G. ze swoimi adwersarzami z obozu żydowskiego, którzy od pewnego czasu toczą przeciw niemu kampanję, robiąc na komendę obławę lub atakując huraganowym ogniem paszkwilu. Dla obserwatorów z boku jest rzeczą widoczną, że atakujący nie mają bynajmniej na widoku jakiegoś zagadnienia literackiego, lecz że jest to wygryzanie niedogodnego pisarza ze stanowiska w „Kurjerze Warsz." Jesteśmy świadkmi zdobywania kolejnej reduty w szańcach literatury polskiej. Mafja, rozzuchwalona podbojem ważnych placówek literackich, przypuszcza teraz szturm do poczytnego dziennika, aby wysadzić w powietrze najwybitniejszego polskiego krytyka.

Operacje takie liczyć mogą na powodzenie, gdy im idzie w sukurs słaby charakter komendanta reduty. W tym wypadku jest ona w zbyt pewnych rękach, aby mogła zachodzić obawa kapitulacji przed jerychońskiemi instrumentami.

*

Pan Pomirowski (Pomper) w „Tygodniku Ilustrowanym" pisze o poezjach Wierzyńskiego: „Ta jest olbrzymia różnica między Wierzyńskim a hołdownikami pracy mięśniowej i przyszłościowego władztwa proletarjatu, że ci ostatni tylko głoszą i propagują, ugniatając poezję niby plac pod trybuny, a W. z wierszy swoich wytacza bezpośredni sok życiowości". „Całą sztuką tej sztuki poetyckiej jest więc dźwignia techniczna duszy, organizujący aparat pracy w płynnym mechanizmie marzenia". Gdybyśmy mieli na ankiety duże fundusze sanacyjne, tobyśmy ogłosili nagrodę 750 zł. dla mędrca, któryby wycisnął z tej krytyki choć trochę „soku życiowości" i sensu.

*

P. Józef Wittlin bardzo surowo krytykuje w „Wiadomościach Literackich" (nr. 4) nową książkę głośnego pisarza francuskiego, Delteil'a p. t. „*Les Poilus*". Zwłaszcza zgrozą przejmują go słowa Delteila, że jeszcze za lat tysiąc dziadkowie wnukom opowiadać będą bohaterską epopeę zwycięstwa nad Marną. „Jeśli do tego czasu — pisze p. Wittlin — w umysłach i sercach ludzkich nie zajdzie przewrót, jeśli do r. 3000 nie zdemobilizują się sumienia, to niech lepiej wszyscy djabli wezmą i Paryż i Francję i całą Europę".

(Azja z Palestyną włącznie — zostanie).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Kaz. P. w K. Odpowiadamy w tem miejscu, aby innym również osobom, które tak myślą, rzecz wyjaśnić. Nie jest dobrze, kiedy czytelnik nie ma innego kryterjum dla rzeczy czytanych, jak tylko miarę, czy one są długie czy krótkie. Trzeba baczyć na treść. Wtedy artykuł jest długi, kiedy jest pusty. Wszystko zależy od stosunku ilości do treści. Jeśli treść jest pouczająca, a szczególnie jeśli jest ważna jako rozumowanie, bez którego czytelnik ani tej rzeczy, ani innych podobnych nie zrozumie, to trud czytania i myślenia nie będzie stracony.

Nic prostszego, jak usunięcie z rozprawy filozoficznej za pomocą ołówka wszystkich przesłanek i ogłoszenie wyników w dziesięciu wierszach. Jeżeli to komu dogadza, to wie Pan dlaczego? Dlatego, że ma umysł wyniszczony przez dzienniki brukowe. I w nich nie czyta on nawet telegramu, tylko treść wypisaną dużemi literami. Spieszy mu się? Do czego? Nieprawda, nie śpieszy się, tylko jest roztrzęsiony. Tramwaj, w którym odbywa lekturę, się trzęsie, a on lekki jak wiórek. Dla czego nie krzyczy w kino, że film jest za długi? Bo się bawi, a czytanie rzeczy poważnych jest pracą. Umysły są rozpróżniaczone, próżne są zainteresowań, a wydaje im się, że im śpieszno.

Gdy człowiek inteligentny powie: „Owszem artykuł jest bardzo dobry, ale jest za długi, a ja przecie nie mogę pamiętać, co było w jego pierwszej części przed dwoma tygodniami", to tym argumentem niszczy resztki poważnej literatury, jaka jeszcze została. W ten sposób umysły roztrzęsione i rozpróżniaczone wymordowały już w Polsce typ miesięcznika i wogole książkę poważną. Pozostał dla inteligencji, ale trzyma się tylko ofiarnością jednostki „Przegląd Współczesny".

„Przegląd" stoi na wysokości zadania. Ale cóż on poradzi, że niektóre tematy ze względu na konieczność udowodnień muszą być dłuższe i dzielić je trzeba na parę zeszytów. W styczniowym np. zeszycie mamy tam zaczęte trzy prace i dokończone będą za miesiąc. Więc za długie? Niechże Pan poradzi redaktorowi, jak on to ma zrobić, żeby prof. Rozwadowski swoje wyznania filozoficzne dał Panu w dziesięciu wierszach z dużym tytułem. Raczej prosić należy, aby człowiek, który ma tyle do powiedzenia, pisał jaknajdłużej.

Inteligencja tego krótkiego typu ma za wielkie dla siebie wymagania: chciałaby i wysokiej rangi mędrca i wszystkich rozkoszy rozrywki kabaretowej. Trzeba się zdecydować na typ: czy się ma być istotnie człowiekiem myślącym u steru cywilizacji, czy też kelnerem, który ma wychodne i czyta krótkie rzeczy w tramwaju. Teraz poecie nie wolno napisać nowelki porządnej, o ile się nie mieści w jednym numerze dziennika. Dziennik już niczego nie uzasadnia, tylko „sygnalizuje", a kelner przyjmuje do wiadomości odkładającej. Pełno jest w powietrzu sygnałów, ale też nikt nic nie rozumie.

Nie ma rady, trzeba się przezwyciężać i uczyć się, trzeba czytać i dłuższe artykuły; a czas się znajdzie i pamięć rzeczy czytanych przed tygodniem, tylko trzeba sobie oszczędzić trochę radia, kina, tanga, bridża. Inteligent polski powinien być skromny, wyleczyć się z przywidzeń, że jest wielkim człowiekiem, nie mającym czasu na rzeczy poważne.

ERRATA

W pierwszej części artykułu „Bezdroża samotnego człowieka" (№ 2) na str. 24 szpalta 1-sza, wiersz 23 od dołu, należy czytać: oświeconego absolutyzmu, nie zaś: odwiecznego, jak przez omyłkę złożono.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM